

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

Kwartalnik nr 4 (12) 2015

Egzemplarz bezpłatny
ISSN 2353-1304



FUNDACJA
KGHM
POLSKA MIEDŹ

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

FUNDACJA

KGHM

POLSKA MIEDŹ

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

Kwartalnik wydawany przez Fundację KGHM Polska Miedź
w ramach Społecznej Odpowiedzialności Biznesu (CSR)
KGHM Polska Miedź S.A.
ISSN 2353-1304

Redaktor Naczelny

Krzysztof Kulacz

Redakcja

Maria Kuncaitis, Krystyna Nikończuk, Zbigniew Szarmach, Jadwiga Wardach

Wydawca

Fundacja KGHM Polska Miedź
ul. Skłodowskiej-Curie 48, 59-301 Lubin
tel. 76 747 81 23
e-mail: krzysztof.kulacz@kghm.com
www.fundajakghm.pl

Druk

Miedziowe Centrum Kształcenia Kadr Sp. z o.o. w Lubinie
Poligrafia: 59-300 Lubin ul. Budziszyńska 6A

Nakład 3500 egzemplarzy

Fotografie ze zbiorów redakcyjnych i archiwalnych

W tekstach nadesłanych i przeznaczonych do druku Redakcja zastrzega sobie prawo zmian i skrótów.

Okładka: Grupa pracowników po odbiorze zmodernizowanej odpylni gazów
szybowych. Druga połowa lat 80. Stanisław Gorący dziesiąty z lewej.

Słowo wstępne	7
Rabowałem razem z bokserami – Mieczysław Stefanko	9
Liny chodziły, jak flagi na wietrze – Andrzej Gromnicki	14
Od geologii do... genetyki – Edward Kienig	22
Od Meksyku po Argentynę... czułem się jak w domu – Janusz Matuszyk	29
Po turbinę do Japonii – Stanisław Latkowski	37
Przywykłem do ciągłej nerwówki – Stanisław Gorący	42
To była światowa sensacja – Janusz Szymczyk	47
Gdy kopalnia zaczyna „mruczeć” – Marian Nowaczyk	53
Pod ziemią i na stadionie – Zbigniew Gromek	59
Ochotnik spod Maltańskiego Krzyża – Franciszek Kapral	67
Gdy tapnęło, byłem na komorze – Czesław Wrona	74
Blisko pół wieku na dole – Roman Kułak	80
Słownik terminów	96

Wstęp

Historia Polskiej Miedzi jest utrwalana w wielu formach, także w ludzkich życiorysach. Możemy zatem ją odczytywać na rozmaite sposoby. Zgłębiając poszczególne wątki, łączymy je tworząc opowieść o Polskiej Miedzi. Wiele tych wątków już odkryliśmy i opisaliśmy w wydanych kwartalnikach. Czas więc na kolejne losy ludzi z Zagłębia Miedziowego, które przekazujemy Państwu z wielką radością i satysfakcją.

Troska o pielęgnowanie tradycji jest jednym z ważnych elementów realizowanej przez KGHM polityki społecznego zaangażowania. Utrzymywanie relacji z byłymi Pracownikami Polskiej Miedzi rozumiemy też jako jeden z aspektów kultury wartości pracy i etyki w naszej firmie.

KGHM liczy 55 lat działalności. Przez pierwsze lata budowy firmy, kolejne dynamicznego jej rozkwitu, a także późniejsze stabilnego rozwoju, tworzyła się wielowątkowa historia jednego z najważniejszych podmiotów gospodarczych w Polsce. Wartość KGHM opiera się nie tylko na surowcach, technologiach, rachunkach ekonomicznych, ale także na pracy zespołów ludzi i ich doświadczeniu. Opisani przez nas bohaterowie, zdobywając wiedzę i nabierając bezcennych kompetencji w zakresie geologii, górnictwa, hutnictwa, przetwórstwa, handlu, badań i rozwoju, potrafili w sposób optymalny osiągać zamierzone cele i z optymizmem patrzeć w przyszłość. Pracując dla KGHM wspólnie dali mu najcenniejszy zasób jakim jest dzisiaj wiedza. Budowali markę KGHM, ale jednocześnie tworzyli silne więzi pomiędzy sobą, które stanowią dzisiaj o jej tożsamości. Pochodzą z różnorodnych środowisk, ściągali tu z całego kraju, a nawet zza granicy; niektórzy mają za sobą dramatyczny bagaż doświadczeń wojennych. Są wśród nich pracownicy KGHM, a także ludzie spoza firmy, w różny sposób związani z Miedzią. Dla większości z nich Zagłębie Miedziowe jest spełnieniem życiowych oczekiwań. Chętnie opowiadają o okolicznościach podejmowania pracy na Miedzi i o związanych z nią trudach, o swoich sukcesach i porażkach. Nie unikają wspomnień o tragicznych zdarzeniach, które mimo upływu czasu, wciąż pozostają w pamięci i budzą emocje. Mówią także o swoich prywatnych sprawach: zakładaniu rodziny, dzieciach, wnukach. Za tę szczerość wypowiedzi bardzo im dziękujemy.

Odbieramy od naszych czytelników wiele pozytywnych opinii wskazujących na duże zainteresowanie wspomnieniami. Mamy również nadzieję, że kolejny zbiór wspomnień zainspiruje innych, byłych pracowników Polskiej Miedzi, do podzielenia się z nami swoimi historiami, przeżyciami a także dokumentacją fotograficzną.

Redakcja

**Akurat nadszedł kierownik
Michał Kłosowski, chciał
zobaczyć, jak nam idzie.
Gdy lekko stuknął w stojak,
usłyszeliśmy potężny huk - pod
wpływem nagłego ciśnienia
obudowa siadła na wszystkich
czterech „walenciakach”.
W pierwszym odruchu
natychmiast rozejrzałem się za
ludźmi... brakowało Marka.**

*Mieczysław Stefanko,
górnik przodowy
w Zakładach
Górnictwa Konrad.
Pracował w latach
1960-1990*



Rabowałem razem z bokserami

Gdy tylko skończył podstawówkę, od razu ruszył za chlebem. Niedaleko, bo tylko do sąsiedniej wioski, do Iwin.

– O dalszej nauce nawet się nie myślało – mówi o swoim życiu Mieczysław Stefanko. – W powojennych latach z ośmiu hektarów nie dało się wyżyć. Wieś obciążona była kontyngentami; rolnicy za marne pieniądze oddawali państwu wyznaczone ilości zboża, żywca, ziemniaków, mleka. Od dziecka ciężko musiałem pracować i w domu, i w polu. Mieliliśmy dwie krówki, wstawałem razem z matką o piątej, żeby je napaść jeszcze przed pójściem do szkoły.

■ Dali nam „sercówy”

Po siódmej klasie z grupą kolegów z Olszanicy pojechał do Iwin, do Zakładów Górniczych Konrad, żeby zacząć się do jakiejś prostej roboty. Chłopcy mieli już pewne rozeznanie, bo ich ojcowie

dorabiali na kopalni, przewożąc furmankami różne materiały i niewielki sprzęt. Młodych przyjęła „wrocławska dwójka” (Przedsiębiorstwo Przemysłu Budowlanego nr 2 we Wrocławiu), które w Bolesławcu i w Iwinach stawiało osiedla dla górników. Taszczyli cegły, dachówki, cement z wagonów na samochody a potem z samochodów na placu budowy. A w żwirowni, w Iwinach, dali im do rąk „sercówy” - duże łopaty, którymi szuflowali piasek na ciężarówki.

Trzy lata później z innymi pracownikami trafił do Brzegu Dolnego, gdzie „wrocławska dwójka” wznosiła bloki dla Zakładów Chemicznych „Rokita”. Jednak szybko zrezygnował, nie podobały się mu warunki: reżim jak w wojsku, spanie w barakach i z wyżywieniem kiepsko.

■ Wysyłali po klucz do przodka

Wrócił do Olszanicy na żniwa i od razu zareje-

strował się w pośredniaku, w Bolesławcu, bo dostać się do „Konrada” nie było tak łatwo, jak się nie miało tzw. chodów. Dopiero 20 października 1960 roku został przyjęty jako górnik na oddział G-9, którym kierował Czerna, technik z wykształcenia.

Mieczysław Stefanko przyznaje, że nie od razu oswoił się z kopalnią:



Mieczysław Stefanko (za kierownicą) na przejażdżce z kolegą w trakcie odbywania służby wojskowej.

– Pierwszy raz człowiek wszystkiego się boi, najgorzej było wsiąść do klatki i zjechać, ale nie miałem wyjścia, przyzwyczailem się. Na początku musiałem się pilnować, żeby stare wygi nie wpuściły mnie w maliny. Potrafili takiemu młodemu dać baniek i wysłać po prąd, albo po klucz do przodka. Szedł młodzik we wskazane miejsce, tamci obładowali go jakimś żelastwem, a on to targał do przodka. Potem długo się naśmiewali z takiego delikwenta.

Na dole znowu dostał do ręki „sercówkę” i machał nią przez całą dniówkę, z dziesięciominutową przerwą na śniadanie. Wzdłuż ściany stawało po 10-12 chłopów, fedrując odstrzelony urobek. Z początku ciężko było, ale powoli się wdrożył, podpatrując

starych górników; od nich nauczył się, jak najlepiej podbierać urobek.

– Wrzucaliśmy szuflami rudę do rynny – opowiada – a jak się trafił większy kęs, to przewalało się go rękoma. Umocowane na linach rynny ruchem wahadłowym zrzucały urobek na taśmociąg transportujący go do „bunkrów”. Stamtąd na niższym poziomie ruda zsypywała się do wagoników, a gdy zapełniła się odpowiednią ich ilość, elektrowóz ciągnął skład pod szyb.

■ Do PGR – marsz!

Łopatą machał przez dwa lata, zarabiał około 1500 zł na stare pieniądze. Dla porównania strzałowi dostawali prawie dwa razy tyle, jednak nikt im nie zazdrościł, bo mieli robotę o wiele bardziej odpowiedzialną i też ciężką.

– Na swoich garbach – powiada pan Mieczysław – po dwie banie materiałów wybuchowych musieli targać do przodków i ręcznie ładować otwory. Nie to co dziś: operator podjeżdża wozem, wierci otwory, a drugi je potem ładuje, też z wozu.

W 1962 Mieczysława Stefanko powołano do wojska – w tym czasie na „Konradzie” nie było odroczeń. Jedyne kto chciał, mógł odrobić wojsko na węglu – kolega pana Mietka tak zrobił. On wołał wskoczyć w mundur.

– Skończyłem podoficerską szkołę w Ostródzie – wspomina – a resztę służby odbyłem w Elblągu. Minęły dwa lata, cywilne ciuchy już przygotowane, a tu na wieczornym apelu niespodzianka. Pada rozkaz: „Jedziecie do Olsztyna do pegeerów na wykopki ziemniaków i buraków. Jak wybieracie ziemniaki i wykopiecie ro ha buraków, dopiero wtedy pójdziecie do cywila”. Każda kompania musiała jeden PGR obrobić – około miesiąca nam to zajęło.

■ Brygada hula-hop

Po wojsku wrócił do ZG Konrad. Akurat w kopalni powstała brygada montażowo-transportowa pod ziemią – nie wiedzieć czemu, zyskała nazwę „hula-hop”. Żeby mogli się wdrożyć do nowej roboty, kierowano ich na różne szkolenia, które odbywały się zazwyczaj na miejscu, w kopalni. Pan Mietek ukończył nawet kurs maszynisty elektrowozu, choć na co dzień nim nie jeździł, ale czasem np. trzeba było przewieźć brygadę w jakieś odległe miejsce na dole kopalni. Jak mówi, kiedyś nie było takiej specjalizacji, jak teraz. Górnik musiał znać się i na obudowie, i na montowaniu różnych urządzeń

górnictwa, takich jak: pancry (przenośniki), skrepery (kołowroty), czy transportery taśmowe. Mieczysław Stefanko przykładał się do roboty i wkrótce awansował na przodowego.

W 1972 roku został przeniesiony na szyb K-1, do brygady rabunkowej. Mówi, że po jego robocie ani szczur, ani mysz już się nie przecisnęła zasypnym chodnikiem. W zasadzie to myszy się nie spotykało, ale szczury cały czas dyskretnie towarzyszyły górnikom, czatując na resztki jedzenia. Pan Mietek przypomina sobie takie zdarzenie: Wszedł do komory na śniadanie, a kolega naskoczył na niego, że wyjadł mu śladzie ze stoika. Chwilę później obaj doszli do wniosku, że to sprawka szczura. Stoik ze śladziami znajdował się w kurtce roboczej zawieszanej na haku. Przyjrzeni się - kieszeń była rozerwana, rozbity stoik leżał na spągu, a po jego zawartości ani śladu. Jak widać, szczury też zajmowały się... rabowaniem.

Brygada Stefanki rabowanie zaczynała od demontowania wszelkich urządzeń: przenośników, kołowrotów, stacji transformatorowych, a na koniec zabierali się za obudowę (stojaki, betony, kapy, gigi i siatka zabezpieczająca) - po ich usunięciu, pod wpływem ciśnienia górotworu skały samoczynnie wypełniały wyrobisko. Czasem następowało to tak szybko i niespodziewanie, że nawet nie zdążyli wyciągnąć obudowy. Gdy usłyszeli charakterystyczne głucho trzaski - odgłosy odprężania się górotworu, trzeba było czym prędzej uciekać. To co udało się odzyskać z obudowy czy urządzeń, zwykle po remoncie w warsztacie ponownie było wykorzystywane, a to co zniszczone - szło na złom.

■ Uciekali, aż okulary pogubili

Rabowanie uchodziło za najbardziej niebezpieczne zajęcie w kopalni. Kiedyś, w latach 80., podczas tych robót na oczach przodowego Stefanki zginął jeden z podległych mu ludzi.

- To się zdarzyło nocą, z soboty na Niedzielę Palmową, tydzień przed Wielkanocą - nawiązuje do tragicznych wspomnień. - Na trzecim igroku (rozgałęzienie z głównego chodnika na dwie dowieczalnie) demontowaliśmy obudowę dowieczalni podścianowej (pochyłego wyrobiska), wcześniej wyrabowaliśmy stamtąd przenośnik taśmowy. Obudowę podtrzymywały cztery stojaki-walenciaki (od nazwy obudowy stalowej typu Valent - przyp. red.). Marek Florczak znajdował się na upadzie, reszta brygady trochę wyżej. Marek trzymał linę umocowaną do „walenciaka”. Akurat nad-

szedł kierownik Michał Kłosowski, chciał zobaczyć, jak nam idzie. Gdy lekko stuknął w stojak, usłyszeliśmy potężny huk - pod wpływem nagłego ciśnienia obudowa siadła na wszystkich czterech „walenciakach”. W pierwszym odruchu natychmiast rozbieżaliśmy się za ludźmi...brakowało Marka. Po chwili zobaczyłem - leżał na spągu, nieprzytomny, przy-



*Pan Mieczysław, obok
po prawej żona, pani
Stanisława.*

gnieciony stojakiem. Żeby go wydostać, musieliśmy użyć podnośnika. Wyciągałem bezwładne ciało za ręce, jeszcze żył, oddychał, ale były to już jego ostatnie chwile. Na miejscu szybko pojawił się dyrektor Zbigniew Ziomek, jednak w niczym nie mógł już pomóc. Wkrótce na dół zjechali też prokuratorzy i inspektorzy Urzędu Górniczego. Ale jak w pewnym momencie dowiecznia zaczęła „chodzić”, wszyscy wzięli nogi za pas, tak szybko uciekali, że okulary pogubili. Ostatecznie komisja powypadkowa nie dopatrzyła się w tej tragedii niczyjej winy.

Marek Florczak był bokserem. Rabunkiem w tym czasie zajmowali się niemal sami sportowcy; przerzucili ich na kopalnię po tym, jak ZG Konrad przestała finansować Bolesławiecki Klub Sportowy.

- Pracowało z nami wielu znanych bokserów - pan Mieczysław wymienia, tych, których zapamię-



1998 rok. Pan Mieczysław z żoną (po prawej) podczas pielgrzymki do Częstochowy.

tał – olimpijczyk Rysiu Tomczyk, mistrz Polski i Europy, jego brat Adam, Bogdan Bomba (waga ciężka), Rysiek Frankiewicz, Stasiu Lechowski – mistrz Polski; ten gdy przyszedł na szczytę, to ani chwili nie posiedział, tak się rwał do roboty – z gospodarki pochodził, to i pracowity był. Także ciężarowcy swoje kariery kończyli pod ziemią. Jedynie piłkarze uniknęli dołu, bo przysparzali ich różne kluby.

■ Przedłużał żywot „Konrada”

Przodowemu Stefanku udało się bezpiecznie przepracować w kopalni aż do czasu przejścia na rentę.

– Udało się, bo nigdy nie byłem nachalny na robotę – przekonuje – jak sztygar mnie ponaglał, to ja do niego: „Juluś, ja ciebie roboty uczyłem, a ty teraz mnie będziesz poganiał? Ty ciągle tylko norma i norma – pięć kompletów stojaków na dniówkę każesz rabować. Jak będziemy tak gonić, to szybciej kopalnię zlikwidują, i po co ci to? Po jednym, po dwa na dniówkę, to dłużej „Konrad” żyje” – tłumaczyłem mu żartem. Do dzisiaj koledzy śmieją się, że przez moją powolną robotę w rabunku przedłużyłem żywot kopalni co najmniej o dwa lata.

Podkreśla, że dla niego zawsze najważniejsza była nie tylko solidna praca, ale i bezpieczeństwo.

– Sztygarów rozliczali z wykonania norm, dlatego nas poganiali – wyjaśnia Mieczysław Stefanko.

– „Boluś – mówię do innego sztygara – ty mnie gonisz: szybko, szybko, a wiesz przecież, że jak robota idzie, to pocisnę, a jak nie – to nie, bo chcę jeszcze pożyć, inni też”.

Czasem z tego powodu było trochę nerwowo i dochodziło do spięć.

– Pamiętam takie jedno z trudniejszych zadań – wspomina. – Na trzecim igreku zacisnęło kołowrót, chyba ok. 65 cm wbił się w spąg pod ciśnieniem górotworu. A było to drogie urządzenie, kosztowało około miliona złotych. Kierownik Małolepszy zwrócił się do mnie i do kolegi Franka Piotrowskiego: „Dobierzcie sobie czterech ludzi i przez noc macie go wyciągnąć”. Ja na to: „Wiesz ile to kucia?”. „Mnie to nie interesuje” – odpowiedział. No to ja mówię, że będziemy próbować, a czy się uda, zobaczymy, niczego nie obiecuję. Już o szóstej rano dzwoni Małolepszy do komory i pyta, co z kołowrotem. „Niedługo wagonik pod szyb go przywiezie” – odpowiedziałem. „To po wyjeździe – przekazał nam – zgłóście się do biura”. Tam czekały już na nas nagrody: bony premiowe dla całej naszej sześciuosobowej brygady. Każdy kierownik dostawał swoją pulę bonów i nagradzał nimi za wykonanie trudniejszych zadań. Nie miały dużej wartości – najwyżej po 100 i 200 zł. Można je było realizować na terenie kopalni lub w wyznaczonych sklepach w mieście. Zwykle kupowało się za nie artykuły spożywcze.

■ Potyczki na igrekach

Ale nie zawsze tak gładko szło w robocie.

– Kiedyś kierownik Kłosowski polecił odzyskać napędówkę taśmociągu – opowiada pan Mieczysław. – Ja na to: „Jak się da, czemu nie – wyrabujemy”. Ale się nie dało, bo kiedy wybiliśmy stojaki, wszystko od razu runęło i urządzenie znalazło się pod skałą.

Igreki niekiedy stawały się w kopalni zapałnym miejscem. Znajdowały się tam zbiorniki, które przyjmowały rudę – każdy z dwóch różnych oddziałów. Pod zbiornikiem przenośnik Legmet odbierał urobek i dostarczał do głównego zbiornika, skąd przesyłany był do wagoników, a one wiozły go na wywrot pod szyb.

Sztygarzy z obu oddziałów pilnowali zbiorników na igrekach jak oka w głowie. Bo zdarzało się, że z powodu jakiejś awarii, np. gdy jeden z wozów się wywalił i zablokował odstawę rudy, zbiornik szybko się zapełniał. A każdemu ze sztygarów zależało, żeby do końca zmiany zdążyć z odstawą

urobku ze swego oddziału. Nieraz leciały wyzviska, dochodziło do pyskówek, szamotaniny, wyłączania awaryjnym przyciskiem taśmociągu „konkurencji”, a czasem atmosfera stawała się na tyle gorąca, że ci z dozoru okładali się przy tych zbiornikach górnicyzmi laskami.

■ Średni został górnikiem

Jako rabunkarz pracował do 1990 roku, kiedy to z powodu wysokiego ciśnienia lekarz nie dopuścił go do pracy. Z tego powodu musiał przejść na rentę. W tym czasie „Konrad” był już w stanie likwidacji, chociaż – jak przypuszcza pan Stefanko – na siódmym igreku kopalnia mogła ciągnąć jeszcze ze trzy lata. Prowadzono tam nawet roboty przygotowawcze (zamontowano m.in. taśmociąg na ścianach), ale to wszystko poszło na marne – eksploatacja nie ruszyła.

Pośród trzech synów pana Mieczysława, tylko średni, Józef, został górnikiem. Ale nie tak od razu, bo z „Konrada” w tym czasie, kiedy kończył zawodówkę w 1986 roku, już tylko zwalniali. Szczęściem kiedyś pan Mietek, tak na wszelki wypadek, wspomniiał kierownikowi kadr Wacławowi Czupkiewiczowi, że syn szuka pracy. Pan Wacław pamiętał o tym i kiedy zwolniło się stanowisko na powierzchni, dał znać, że pojawiła się możliwość zatrudnienia. Józef Stefanko przez dwa lata pracował na „Konradzie”, potem wraz z innymi, został przeniesiony na anhydryt do Lubichowa. Tam porobił różne uprawnień górnice i jak tylko nadarzyła się okazja, zatrudnił się w nowym zagłębiu – już 12 lat pracuje jako elektryk dołowy w ZG Rudna.

– Z Olszanicy chyba dwunastu chłopaków – uciekinierów z Lubichowa, dojeżdża autobusem pracowniczym na „Rudną” – mówi Stefanko. – Nasza wieś nadal trzyma się Miedzi, choć już nie tak mocno jak za moich czasów, gdy z każdej zagrody ktoś pracował na kopalni. Przeważnie, tak jak ja, byli to chłopo-górnicy. W żniwa po szychcie zdrzemnął się złowiek dwie godzinki i ruszał w pole, a do obrobienia miałem 15 hektarów. Synowie pomagali, więc dawałem radę ciągnąć i gospodarke, i robotę na kopalni. A czasem, to i koledzy z pracy przyjeżdżali ze wsparciem.

■ Czekolada dla piłkarzy

Mimo wszystko pan Mieczysław znalazł jeszcze



Olszanica - 1998 rok. Pierwsza Karczma Piwna spółki ATLAS odbywała się w wiejskiej remizie. Mieczysław Stefanko (drugi od prawej) jako wiceprezes OSP w roli gościa. Obok, w mundurze górnicyzmy, prezes OSP Franciszek Wójcicki, również emerytowany górnik ZG Konrad.

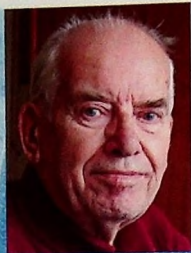
czas na to, by społecznie podzielać. Zawsze pasjonował się piłką nożną. W latach 80., gdy synowie biegali po wiejskim boisku, prezesował miejscowej Olimpii Olszanica. Było to zajęcie dla prawdziwych zapaleńców. Nieraz żeby zachęcić chłopaków ze wsi do wyjścia na boisko, musiał sięgać do własnej kieszeni. Kupował im czekoladę, cytryny, oranżadę, a po rundzie wiosennej i jesiennej organizował plenerowe imprezy z pieczonymi kiełbaskami.

Dziś pan Mieczysław najczęściej ogląda mecze w telewizji, a niekiedy na miejscowym boisku, gdy z rzadka rozgrywane jest tam jakieś spotkanie. Bo i młodzieży mniej we wsi i preferuje ona inne rozrywki. Ciągłe też udziela się społecznie; od 54 lat jest strażakiem, w tym już 30 lat sprawuje różne funkcje, obecnie jako wiceprezes Ochotniczej Straży Pożarnej w Olszanicy – był jednym z inicjatorów budowy strażnicy we wsi.

Gdy pracował w kopalni i prowadził gospodarstwo, nie mógł sobie pozwolić na korzystanie z zakładowych czasów i wycieczek. Zwykle wysyłał żonę i dzieci. Odkąd najstarszy syn przejął gospodarstwo, pan Mieczysław – jeśli tylko zdrowie mu pozwala – chętnie bierze udział w wycieczkach i pielgrzymkach, nawet zagranicznych. ■

Roboty szły ciężko, dostarczane z ZSRR maszyny były niekompletne. Na przykład sprzęgła przychodziły bez śrub. Dorobienie ich wymagało sporej ekwilibrystyki. Pamiętam zimę stulecia, drogi przypominały wąwozy śnieżne. Wyprawiłem się do Bolesławca, by w warsztatach „Konrada” dorobić brakujące śruby. Innym razem klocki hamulcowe dorabialiśmy w tartaku, w Karczowiskach.

Andrzej Gromnicki,
nadsztygar
ZG Konrad, główny
specjalista ds.
energomaszynowych
w zarządzie KGHM
i ZG Polkowice,
kierownik wydziału
remontu maszyn
górnich
w Zakładach
Naprawczych Maszyn
w Polkowicach.
Pracował w latach
1958-1981



Liny chodziły, jak flagi na wietrze

Kiedy zaczęła się wojna i mój ojciec, kierownik utrzymania ruchu mechanicznego w Zjednoczonych Fabrykach Związków Azotowych w Chorzowie i w Mościcach został zmobilizowany, ja z mamą uciekaliśmy ze Śląska do rodziny na Podolu. Pamiętne, dziesiąte urodziny obchodziłem na furmance. Dojechalśmy do Kraśnika, gdzie zostaliśmy wchłonięci przez wojska niemieckie. Dalsza ucieczka była już bezsensowna, bo wojska sowieckie zajęły wschodnie tereny Polski. Zawróciliśmy więc kolejną furmanką do ciotki mamy, mieszkającej w Krakowie. Okupacja była pasmem różnych przeżyć, a głównym celem przetrwanie.

■ Zdobyłem trzy „mewki”

W lecie 1945 roku wróciliśmy do Chorzowa, gdzie w trybie przyspieszonym kończyłem trzecią i czwartą klasę gimnazjum. Nieco później, gdy ojciec organizował w Gliwicach Bipromet, przeprowadziliśmy się do Gliwic. Już w liceum myślałem o lataniu na szybowcach. Byłem nawet na kursie organizowanym przez Szkołę Szybowcową w Góleszowie. Szkolenie na górze Chełm dawało umiejętność odpowiadającą kat. A i B pilota szybowcowego. Ale ja wtedy zdobyłem aż trzy mewki, czyli również kategorię „C”. Zamierzałem po maturze iść do szkoły oficerskiej w Warsza-

wie, a potem dokończyć edukację na politechnice, na Wydziale Budowy Samolotów. Niestety odpadłem na badaniach lekarskich w Centralnym Instytucie Badań Lotniczo-Lekarskich w Warszawie. Pomyślałem więc o architekturze, pokrewnej budownictwu, ale to oznaczało studia w Krakowie, a ja mieszkiałem w Gliwicach, nieopodal Wydziału Mechanicznego Politechniki Gliwickiej - zdecydowałem się więc na politechnikę.



■ W studenckiej czapce pod ziemię

Studia szły mi gładko, jednak po dwóch latach (na ogólnym kierunku) przepisano mnie na górnictwo, które w tamtych czasach było oczkiem w głowie całego systemu. Kilku moich kolegów z tego powodu zrezygnowało z dalszej nauki, a ja poddałem się woli bożej. Skierowano mnie na praktykę miesięczną do kopalni „Katowice” w Katowicach. Nie było dla mnie hełmu, więc zjeżdżałem na dół w studenckiej czapce. Przydzielono mnie do brygady transportowej, centymetr po centymetrze przesuwaliśmy rękugami napędy do przenośników zgrzeblowych na ściany. Raz usiadłem na okorku pod ścianą, przechodzący obok sztygar straszenie mnie za to zrugął. Po robocie wsiadałem umorusany do tramwaju i dopiero po dotarciu do znajomych, u których mieszkiałem, mogłem się umyć.

■ Szyfrowane sprawozdania

Zupełnie inaczej przebiegały praktyki dyplomowe po trzecim roku studiów na kopalni „Sośnica”. Tam już traktowano mnie jako pracownika dołowego i warunki socjalne były znacznie lepsze. Zaliczyłem 3,5 roku studiów, robiąc w ramach praktyki dyplomowej projekt szybiku ślepego na kopalni. W sprawozdaniu i opisach nie wolno było umieszczać otwarcie żadnych danych, wszędzie obowiązywała tajemnica. Dla przykładu, wydajność sprężarki wynoszącą 50 metrów sześciennych na godzinę, należało opisać stosując szyfr. Cyfrę pięć oznaczaliśmy literą „A”, a zamiast zera

W rodzinie Gromnickich pielęgnowano tradycje harcerskie.

pisaliśmy „C”. Należało więc odnotować - AC metrów sześciennych na godzinę, takie to były czasy. Za to wykładowców mieliśmy najwyższej klasy. Część dojeżdżała z krakowskiej AGH, ale większość stanowili wykładowcy z Politechniki Lwowskiej, np. prof. Burzyński z wytrzymałości materiałów, prof. Stanisław Ochęduszek z termodynamiki, prof. Julian Bonder - matematyk, jeden z konstruktorów samolotu PZL-37 „Łoś”.

■ Tajne zbiorniki

Po praktyce i zdobyciu dyplomu inżyniera, z nakazem pracy skierowano mnie do Centralnego Biura Projektów Przemysłu Węglowego. Wtedy tymczasowo mieściło się w Świętochłowicach, nieco później zostało przeniesione do Katowic na Koszutkę. Trafiłem do pracowni urządzeń wyciągowych: 40 ludzi, ogromna sala, wszyscy z deskami kreślarskimi i ja ze swoją. Po pierwszym miesiącu wypłacili mi na rękę 850 zł. Tyle samo kosztowały porządne buty, które sobie kupiłem.

Kilka miesięcy później zostałem oddelegowany do oddziału Biura Projektów w Wieliczce. Jakims przedziwnym zbiegiem okoliczności znalazłem się w szóstce inżynierów różnych branż - wszyscy byliśmy kawalerami. Mieliśmy zaprojektować w największych komorach kopalni zbiorniki paliwa dla państw bloku socjalistycznego. Do mnie

należało wykonanie projektu wstępnego części mechanicznej, czyli adaptacji starego szybu „Kościuszko” i maszyny wyciągowej pamiętającej czasy austriackie oraz zaprojektowanie wentylacji, komór pomp i transportu paliwa do zbiorników i ze zbiorników na powierzchnię.

Na całe zadanie dostaliśmy dwa miesiące. Z końcem lipca przedłożyliśmy gotowy projekt Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego w Warszawie. Został przyjęty, nawet dostałem premię, za którą kupiłem sobie, przeszmuglowany przez marynarzy, zegarek szwajcarski - Atlantik, po wymianie sprężynki chodzi do dzisiaj.

■ Po śmierci Stalina

Po akceptacji projektu w Warszawie spotkał mnie też awans na kierownika zespołu do opracowania projektu technicznego całości tajnego



Książka lotów pilota szybowcowego.

przedsięwzięcia. Ubecy ciągle patrzyli nam na ręce. Co tydzień chodziłem do „smutnego pana”, który wypytywał: „Co teraz robicie? Z jakich korzystacie książek?”. Trzeba było mówić od razu, że z radzieckiej literatury, bo inaczej byłoby to źle widziane. Miotałem się, obawiałem się, czy zdołamy sprostać zadaniu. Owszem miałem w zespole dwóch inżynierów mechaników, nawet magistrów, ale byli to ludzie nie mający pojęcia o górnictwie.

Los podsunął rozwiązanie: Przypadkiem w czasie świąt spotkałem kolegę, z którym jeździłem na narty, był członkiem egzekutywy uczelnianej PZPR w Gliwicach. Namawiał mnie na dwuletnie studia magisterskie. Niemal od razu złożyłem papiery w dziekanacie i zostałem przyjęty na Wydział Górniczo-Mechaniczny, a „Wieliczka” mnie urlopowwała. Po skończeniu studiów miałem się zgłosić ponownie do pracy. Nie chciałem tam wracać. Zwróciłem się do ministerstwa szkolnictwa, w Warszawie, by mi zmieniono nakaz pracy na Centralne Biuro Konstrukcji Maszyn Górniczych i... dostałem zgodę. Jestem przekonany, że na tę decyzję wpłynęła wieść o śmierci Józefa Stalina (5 marca 1953 roku). Z tego powodu również całe tajne przedsięwzięcie w Wieliczce zostało zaniechane.

■ Mieszkanie na Barbórkę

Żeby dorobić parę groszy, po pierwszym se-



Atlantic – kupiony ponad 60 lat temu za premię z PKPG jest nadal sprawny.

mistrze nawiązałem kontakt z firmą Polcargó z Gdyni. Po drugim semestrze zacząłem pracować w BKMG w Gliwicach, oczywiście cały czas studiując.

Tematem mojej pracy magisterskiej był projekt uniwersalnego przenośnika górniczego taśmowego PTG, który zrobiłem po konsultacjach ze służbami mechanicznymi wielu kopalń. Przez wiele lat przenośnik mojego pomysłu stosowano na Węglu, a także na Miedzi.

Kazimierz, przyszłą żonę, poznałem na uczelni. Jakiś czas po ślubie dostałem mieszkanie na nowym osiedlu przy kopalni „Gliwice”. Warunki były pionierskie: Dojście do domu bez kaloszy okazało się niemożliwe, ciągle brakowało wody. Niestety w mieszkającej nad nami licznej rodzinie nie było nawyku zakręcania kranów. Każdego miesiąca miałem w mieszkaniu powódź, zawilgocone książki w bibliotece były nie do odratowania. W końcu zrezygnowałem z tego lokum i powróciliśmy do rodziców.

Kiedy urodził się pierwszy syn, Janusz, znów zacząłem szukać mieszkania i bardziej opłacalnej pracy. Przypadkiem spotkałem się z dyrektorem Kazimierzem Kozdrójem z kopalni „Konrad” w Iwinach. Im więcej opowiadał mi o zagłębiu miedziowym, tym bardziej byłem gotów na radykalne zmiany. I tak, po załatwieniu przeniesienia służbowego, z końcem kwietnia 1958 roku znalazłem się w Bolesławcu. Niemal od ręki, na Barbórkę, otrzymałem mieszkanie. Tym razem mieliśmy bardzo udane sąsiedztwo rodzin górniczych.

■ Uciekali pod prąd

W Iwinach zaczynałem od dozorczy maszynowego, później byłem sztygarem zmianowym i nadztygarem. Liczyłem, że zwiążę się z „Konradem” na dłużej. Niestety doszło do ogromnej katastrofy górniczej. Na poziomie 315 m bito chodniki z upadowej. W górnym chodniku z kawerny wylały się tysiące metrów sześciennych wody, zginęło trzech górników.

To zdarzyło się pod koniec zmiany. Strzałow, który miał przodek odpalić, właśnie zmierzał do tego przodka, gdzie pracowało trzech ludzi. Jeden z nich - pomocnik - niósł jakieś narzędzia do komory. Gdy się wymijali, doszło do tąpnięcia i ogromnego wylewu wody. Lampy karbidowe pogaśły, jednak zmierzający do komory górnik dobiegł do upadowej i uruchomił sygnalizator alarmowy. Około trzydziestu ludzi pracujących na



Pamiątkowa fotografia ze ślubu kościelnego - Szczawno Zdrój, 1955 rok.

poziomie 360 metrów ruszyło do ucieczki. Chwytając się kabli, uciekali pod prąd napierającego strumienia wody. Trzydziestka ludzi i górnik, który włączył alarm, uratowali się, natomiast strzałowy i górnicy przygotowujący przodek do odstrzału, zginęli. Nie była to pierwsza tego typu sytuacja na „Konradzie”. Wcześniej zdarzały się podobne, ale bez ofiar - bo tam górotwór był, niczym ser szwajcarski. Takie zdarzenia rzutowały na plan i wydobyć; jak go nie było, nie było również pieniędzy. Z powodu finansowej mizerności kilku moich kolegów wyjechało do „Lubina”. W końcu i ja się ugiąłem i pojechałem do dyrektora Zastawnika. Przyjął mnie, i po krótkiej rozmowie usłyszałem: „Proszę bardzo, przyjeżdżaj pan!”.



Andrzej Gromnicki w 1960 roku sprowadził do Iwiny wyrębiarkę pracującą na ścianie.

■ „Eta niczewo nie mieszajet...”

Zostałem głównym specjalistą ds. energomaszynowych. Moim pierwszym szefem był dyrektor Arkadiusz Tobolski. Właśnie w tym czasie na szyby L-3 i L-5 sprowadzili rosyjskie maszyny wyciągowe. Zawołał mnie dyrektor Zastawnik do siebie i mówi: „Słuchaj bracie, musisz mi w terminie uruchomić te maszyny, bo nie ruszymy z robotami”. Maszyny te były obrazem nędzy i rozpaczy. W montażu uczestniczyli dwaj radzieccy specjaliści: mechanik Cwientuch i elektryk Sokołow. Cwientuch przed przyjściem do pracy zachodził rano do baru Miedzianka, bo musiał wychylić stakana na „rozruch”.

Roboty szły ciężko, dostarczane z ZSRR maszyny były niekompletne. Na przykład sprzęgła przychodziły bez łożysk. Dorobienie ich wymagało sporej ekwilibrystyki. Pamiętam zimę stulecia, drogi przypominały wąwozy śnieżne. Wyprawiałem się do Bolesławca, by w warsztatach „Konrada” dorobić brakujące łożyska. Innym razem klocki hamulcowe dorabialiśmy w tartaku, w Raszówce. Najgorsze było to, że części maszyn często do siebie nie pasowały. Na przykład bębny przyszły w dwóch połówkach; aby po złożeniu i zespara-

niu spełniały swoją rolę, trzeba było je obtoczyć. W efekcie płaskownik na wieńce grubości 40 milimetrów po obtoczeniu w najcieńszym miejscu miał 17 milimetrów, co w znacznym stopniu skracало jego żywotność. Kiedyś nie wytrzymałem i napisałem w tej sprawie pismo do Tjżprom Eksportu. Po dwóch miesiącach odpowiedział: „Eta niczewo nie mieszajet, eta maszyna budiet rabotać”. Kiedy wreszcie te dwie maszyny wyciągowe zostały odebrane przez komisję i UG, czułem się tak, jakby mi ktoś ogromny ciężar zdjął z pleców.

■ W pokoju Tierieszkowej

W Polsce górnictwo miedziane dopiero się tworzyło, toteż w 1964 roku wyjechalismy w kilku grupach do ZSRR, by zorientować się w rozwoju tej branży u „przyjaciół” i ewentualnie dobrać maszyny do naszych potrzeb. Udaliśmy się do Karagandy. Z lotniska przewieziono nas do hotelu Karaganda, w którym tydzień wcześniej gościła Walentyna Tierieszkowa. Wojtek Czajowski i ja dostaliśmy po niej pokój z balkonem, z którego pierwsza kosmonautka pozdrawiała naród.

Zaczęliśmy od zwiedzania kopalni węglowych. Byliśmy zszokowani prowadzoną tam niesamowicie rabunkową gospodarką, dla przykładu: z ośmiometrowych pokładów wybierano tylko trzy metry, a pozostała część węgla szła w zawał.

Za każdym razem po wyjeździe z dołu szliśmy na obiad, a po nim jeszcze na mocno zakrapiane przyjęcie. Domyślaliśmy się, że gospodarzom zależało na tym, żebyśmy w ogóle nie wchodzili w kontakt z tamtejszą ludnością. Po trzech dniach byliśmy straszliwie zmęczeni. Traf chciał, że umarł przewodniczący Rady Państwa PRL Aleksander Zawadzki. Ktoś wpadł na pomysł, by ze sznurówek od butów zrobić czarne wstążeczki. Wpięliśmy je w klapy i poinformowaliśmy gospodarzy, że u nas panuje żałoba narodowa i „nam nie nada pić”.

Po 10 dniach pojechalismy do zagłębia miedzianego w Dżezkazganie, niedaleko Bajkonuru,

Dyrektor Tadeusz Babisz wręcza dyplomy uznania za długoletnią i wzorową pracę. Andrzej Gromnicki pierwszy od prawej (1971 r.).



potem do Leninogorska w Altaju, gdzie zwiedzaliśmy kopalnie cynku i ołowiu, a następnie znów do kopalni węgla kamiennego w Kentau i do Taszkientu. Efektami trzymiesięcznej podróży, jeśli chodzi o moją branżę, było sprowadzenie na Miedź elektrycznych ładowarek PNB3K i wywrotów wozów bez wyprzegania elektrowozu ze składu pociągu. Wojtek Czajowski wprowadził betatrony - urządzenia elektroniczne umożliwiające kontrolę geologiczną i stan okruszczenia. Dzięki temu można było radykalnie ograniczyć zatrudnienie laborantek analizujących próbki. Stanisław Downorowicz, który był z nami, rozeznawał sprawy odpadów poflotacyjnych. Wszystkie nasze doświadczenia i wnioski zawarliśmy w opasłym sprawozdaniu, które trafiło do biblioteki KGHM.

■ To nie lotnictwo...

Po powrocie z ZSRR, jako główny inż. energomaszynowy, zostałem przeniesiony na równorzędne stanowisko do „Polkowic”, gdzie bu-

dowano kopalnię. Jeździłem w tym czasie bardzo często na Zespoły Opiniowania Projektów Inwestycyjnych (ZOPI) do „Cuprum” we Wrocławiu. Niektórzy z uczestników ze strony „Cuprum” często nie mieli pojęcia o górnictwie. Bywało np., że godzinami musiałem przekonywać hydraulików (byłych pracowników z Zakładów Hydraulicznych Wrocław Psie Pole), że na górnictwem hydraulicznym trzeba inaczej patrzeć niż na lotniczym.

Hydraulika lotnicza wymaga wyjątkowej czystości, a w kopalni takiej idealnej czystości się nie osiągnie. Niestety moje argumenty nie zawsze przekonywały. Nieraz moi adwersarze twierdzili, że chcą budować kopalnię XXI wieku, a ja im to utrudniam i jestem hamulcowym postępu. A ja byłem przecież konstruktorem ze sporą praktyką, przez lata pracowałem jako sztygar w ruchu, więc widziałem to inaczej. W efekcie końcowym i tak wychodziło na moje, jednak koszty tego uporu w postaci różnych awarii były bardzo wysokie.

■ Przyjeżdżaj, awaria skipu!

Bardzo długo nie mogłem wziąć urlopu, bo wciąż byłem niezbędny. W 1971 roku postanowiłem, by w październiku pojechać z rodziną do Zakopanego. Po drodze zabrałem rodziców z Gliwic. W Suchoj zatrzymaliśmy się w bardzo przyjemnej góralskiej karczynie. Ojciec proponował mi kufelek piwa, a ja, jakby tknięty przeczcuciem, odmówiłem, bo przecież byłem kierowcą.

Jechaliśmy już na Czarny Dunajec, przed nami jakiś motocyklista zatrzymał się przy ludziach pracujących w polu. Gdy byłem już prawie na ich wysokości, wybiegła mi prosto pod koła pięcioletnia dziewczynka. Nie zdołałem zupełnie wyhamować, lekko ją potrąciłem. Chciałem natychmiast zawieźć dziecko do szpitala, jednak jej opiekunowie stanowczo się sprzeciwili. Nie dawało mi to spokoju, odstawiłem rodzinę na Gubałówkę, a potem zawróciłem z małżonką na komendę milicji, by na wszelki wypadek pobrano ode mnie krew do badania na zawartość alkoholu. Na komendzie w Zakopanem skierowali nas do powiatowej komendy w Nowym Targu. Dotarliśmy tam, ale wszystkich wymiotło na mecz hokejowy. Po godzinie oczekiwania pojawił się funkcjonariusz i pojechał z nami do szpitala na pobranie krwi.

To był pechowy urlop od początku do końca. Nawet pogoda się sprzyściła i przez większość dni intensywnie padało. Powrót przebiegał normalnie, jednak ledwie dojechalismy pod dom, zacząłem



Lata 70. obfitowały w pomysły racjonalizatorskie.

wnosić walizki na górę, gdy zadzwonił dyrektor Tadeusz Babisz: „Andrzej, przyjeżdżaj, awaria skipu!”. Zostawiłem torby i czym prędzej na kopalnię. Siedziałem tam półtora dnia. Okazało się, że kiedy mnie nie było, pracownicy skracali liny. Podczas tej operacji zacisk linowy typu Hoer Hammer wpadł im do szybu. Lecząc, pozrywał liny, uszkodził zbrojenie. Z powodu ludzkiej głupoty przez tydzień wszystko stało.

O zdarzeniu poinformowano ministerstwo. Szarpali mnie za ten wypadek. Oczywiście sprawą zajął się UG i prokurator. Obłożono mnie karą pięciuset złotych, bo zdaniem UG nie została opracowana szczegółowa instrukcja montażu i demontażu zacisku. Choć setki razy wykonywałem w szybie przeróżne prace, w tym wymianę lin, nigdy nie pytano o tę instrukcję. Odwołałem się do Wyższego Urzędu Górniczego i tam, po ponownej analizie całej sytuacji, zostałem uniewinniony. Jednak nie był to jedyny raz, kiedy karano mnie za jakąś awarię.

■ Wymienić płaskie na okrągłe!

Na szybie stopniowym P-II o głębokości powyżej 850 metrów „Cuprum” zaprojektowało liny wyrównawcze płaskie i stosunkowo delikatne. Na domiar złego w połowie szybu umieszczono wentylator WOK, który wydmuchując zużyte powietrze z kopalni sprawiał, że liny chodziły, jak flagi na wietrze, co dodatkowo przyspieszało ich

zużycie. Nie mogąc opanować tej sytuacji, zaprosiłem najwyższej klasy eksperta prof. Oktawiana Popowicza, który przyjechał razem z mgr. inż. Tadeuszem Łydką, ekspertem od lin z Głównego Instytutu Górniczego z Katowic. I to oni orzekli, że bezwzględnie liny płaskie należy wymienić na okrągłe. Opinia takich ekspertów była zobowiązująca.

Nie siedłem na kompromisy, np. wytykałem projektantom nieprawidłowości związane z rozładowywaniem skipu na szybie wydechowym. Przy rozładunku powstawała chmura pyłu, którą wysysały wentylatory. W ciągu tygodnia osadzało się tam kilka ton pyłu, który w reakcji z wilgotnym powietrzem mocno zatykał kanały wentylacyjne. Trzeba było je regularnie przeczyszczać. W niedzielę, gdy ludzi na dole nie było, zatrzymywało się wentylatory i czyściło kanały przy użyciu skrepera. Potem problem sam się rozwiązał przy zbiegu szybu P-VII w Sobinie. Wtedy szyb P-II stał się szybem wdechowym.

Równoległe z problemami linowymi w szybie P-II pojawiły się trudności z przecieraniem się wykładzin w skipach i kieszeniach skipowych. Strumień urobku spadając na wykładziny, miejscami ścierał je do zera. Próbowaliśmy wyłożyć je blachą manganową, ale to też nie dawało większych efektów. Większość czasu przeznaczonego na remonty była wykorzystywana do wymiany tych wykładzin. Dopiero nawiązanie kontaktu ze



Dyplom podsumowujący działalność zawodową.

szwedzką firmą Treleborg przyniosło rozwiązanie problemu - poprzez zastosowanie wykładzin gumowych.

■ Po pożarze do Zanamu

Oczywiście moje życie zawodowe, to nie tylko nerwowe i stresujące zadania. Sporo pisałem do pisma „Rudy i metale nieżelazne”, ale także konstruowałem. Z ogromną satysfakcją wprowadzałem, w ramach działalności racjonalizatorskiej, nowe, ulepszone rozwiązania. Moim największym osiągnięciem jest projekt pod nazwą: „Zwiększenie zdolności wydobywczej szybu skipowego P-II ZG Polkowice. To bezinwestycyjne przedsięwzięcie przyniosło kopalni zwiększenie zdolności wydobywczej szybu o 20 procent. Również byłem współtwórcą patentów o nazwie: „Urządzenia do wymiany naczyń szybowych”, a także „Sanie kompensacyjne do wymiany lin w szybie”.

W międzyczasie, w 1973 roku, doszło do pożaru na szybie wdechowym P-I. Od iskry spawalniczej

zapaliły się w szybie kable i olej wyciekający z urządzeń hydraulicznych przyszybowych. Zdarzenie to miało fatalne dla mnie następstwa - zostałem przeniesiony z kopalni Polkowice do budujących się Zakładów Naprawczych Maszyn, gdzie objąłem stanowisko kierownika Wydziału Remontu Maszyn Górniczych.

Moim obowiązkiem było naprawienie w ciągu roku 500 maszyn. Miałem do dyspozycji dwie brygady w terenie, po jednej na „Lubinie” i „Polkowicach” (brygady pracowały w komorach remontowych na dole). Kolejna brygada działała na przeróbce mechanicznej, gdzie zajmowała się remontem młynów. Do jej obowiązków należała także obsługa dwóch wind frykcyjnych i wymiana lin w maszynach wyciągowych wszystkich miedziowych kopalni.

Zapadło mi w pamięć uruchamianie pierwszej windy frykcyjnej na „Rudnej”. Wskutek nieskoordynowania konstrukcji fundamentu, frykcyjna winda nie została odpowiednio zamocowana. W efekcie zerwała się z fundamentu i przesunęła do trzonu szybu. Awaria wisiała w powietrzu, na szczęście brygady szybowe ZG Rudna uporały się z problemem.

■ Synowie na morzach

Praca na Miedzi wypompuwała mnie z energii, kiedy więc stuknęło mi 25 lat w górnictwie, przeszedłem w 1981 roku na emeryturę. To był przełomowy rok z wielu powodów. W kraju rozpoczęły się strajki, ogłoszono stan wojenny. W rodzinie też wiele się zdarzyło: odeszli moi rodzice, u mojej żony wykryto guza mózgu. Prosiłem dyrektora Zastawnika, był już wtedy ministrem w Warszawie, aby pomógł nam dostać się na badanie tomograficzne do kliniki na Banacha (w tym czasie w Polsce były dostępne dwa tomografy, w Warszawie i w Katowicach). Małżonka po czterech operacjach wróciła na dłuższy czas do zdrowia. Jeszcze cieszyła się naszymi wnuczkami Karoliną, Anią i Kasią, a także prawnuczką Maciusiem.

Synowie: Janusz i Andrzej nie poszli w moje ślady, może uznali, że byłem „więźniem” swojej pracy... Obaj trafili do floty, jako absolwenci Szkoły Morskiej w Gdyni pływają u armatorów zagranicznych. Młodszy syn Andrzej (starszy mechanik) zapuścił korzenie w Gdańsku, Janusz jest kapitanem żeglugi wielkiej i mieszka na Florydzie. Jeszcze razem z żoną odwiedziliśmy go w Ameryce. ■

Zadzwoił do mnie późnym wieczorem minister hutnictwa i przemysłu maszynowego Janusz Maciejewicz, wcześniej dyrektor generalny KGHM, i mówi: „Słuchaj, musisz zmontować doborową ekipę i zająć się kopalnią Bogdanka. Tam są 3 szyby, jeden został zasypany w trakcie głębienia, na drugim, gdzie prace są zaawansowane, wypaczyła się obudowa i szyb stracił pionowość, a trzeci zgłębiany jest czynny, ale jak go nie uratujesz, to on się zawali i całe zagłębie szlag trafi”. Zacząłem kompletować ekipę.

*Edward Klenig,
główny inż. geolog
ZG Lubin, dyrektor
naukowy ZBiPM
„Cuprum”. Pracował
w latach 1965-1998*



Od geologii do... genetyki

■ Jak to się stało, że wybrał pan studia geologiczne?

O tym co robimy w życiu, często decyduje przypadek. Nasza wieś, Wólka Lipowa koło Opatowa, usytuowana jest między dwoma złożami fosforów wykorzystywanych do produkcji nawozów fosforowych. W odległości trzech kilometrów od domu znajdowały się dwie kopalnie: Rachów i Chałupki. Jako dzieci zapuszczaliśmy się w tamte okolice. Na złożu Chałupki prowadzono wiercenia rozpoznawczo-dokumentacyjne. W pewnym okresie obsługą geologiczną zajmowała się młoda geolog pani Kuźnicka z Przedsiębiorstwa Geologicznego w Kielcach. Przyjeżdżała co trzy dni i robiła dokumentację z tych otworów, zaglądaliśmy jej przez ra-

mię, a ona nie protestowała. Wtedy właśnie zawód geologa ogromnie mi się spodobał. Dowiedziałem się też, że ukończyła krakowską AGH, Wydział Geologiczno Poszukiwawczy, więc po ukończeniu szkoły średniej poszedłem w jej ślady.

■ W tamtych czasach absolwenci wyższych uczelni otrzymywali nakazy pracy. Pozytywnym nakazu było jednak stypendium, które oferował przyszły pracodawca...

W moim przypadku było to Przedsiębiorstwo Poszukiwań Nafty w Pile. Pracowałem na stanowisku inżyniera geologa. Zajmowałem się tam dokumentowaniem otworów naftowych poszukiwawczych w południowo-zachodniej Polsce,

koło Gubina, Krosna Odrzańskiego i Nowej Soli. W tym czasie udało się tam udokumentować złożę gazu ziemnego w otworach pod nazwą OTYN 1, OTYN 2 i OTYN 3, które później zostało w całości zagospodarowane.

■ **Czy gdyby znalazł się pan w Lubinie sześć lat wcześniej, to odkrycie złóż miedzi mogłoby być również pana udziałem?**

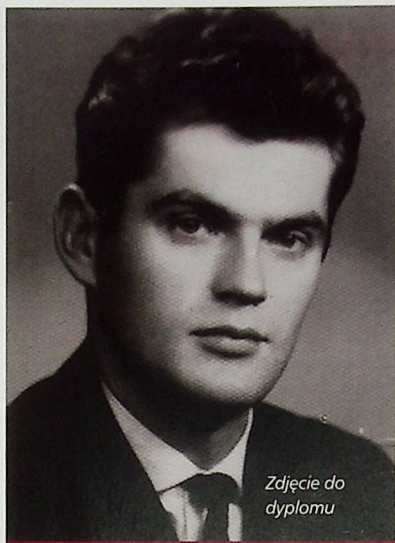
Myslałem o tym, natomiast ja nie pozostałem na uboczu, jeśli chodzi o dokumentowanie lubińskiego złoża. W większości otworów naftowych przewiercana była frakcja miedziowa, która występuje w rejonie Lubina, z tym że na większych głębokościach. Natomiast obszar Lubina i okolic to monoklina przedsudecka, na której obszarem najwyższym jest Lubin. Posuwając się w kierunku północnym, teren ten pod niewielkim kątem obniża się. W odległości 150 kilometrów w prostej linii od Lubina występuje takie samo podniesienie tej formacji, jak w Lubinie. Jest to oczywiście efekt działalności tektonicznej w okresie tzw. orogenezy alpejskiej. I te struktury, zarówno lubińska, która się nie kończy na peryklinie Żar, jak i ta druga struktura (która się nie kończy na terenie Polski), obniżają się w stronę zachodnią i południową.

■ **Czy to oznacza, że ruda miedzi występuje niemal na całym obszarze Polski?**

Formacja miedziowa jest przypisana do tzw. łupków miedzionośnych (są to czarne łupki na pograniczu cechsztynu i czerwonego spągowca). Formacja ta występuje na całym niżu polskim, ale nie tylko. W pierwszym okresie mojej pracy w Nafcie, w kilku punktach złoża to zostało nawiercone w taki sam klasyczny sposób jak w Lubinie. Jest też dolomit, te ciemne łupki i piaskowiec, z tym że na różnych głębokościach. Prowadząc badania tych otworów, starałem się je maksymalnie dokładnie dokumentować.

■ **Kiedy podzielił się pan swoimi badaniami z niedoścignionym mistrzem - prof. Erastem Konstantynowiczem?**

Z panem profesorem Konstantynowiczem nawiązałem kontakt już po pierwszym roku pracy w Nafcie. Profesor był wówczas Głównym Geologiem Zjednoczenia Metali Nieżelaznych w Katowicach. Kiedy przedstawiłem mu tę udokumentowaną sytuację geologiczną, powiedział: „Niech pan odprucuje w Pile, to co musi, a ja spowoduję,



Zdjęcie do dyplomu

że po tym dwuletnim okresie przyjdzie pan do kombinatu miedzi, by zajmować się dokumentowaniem wystąpień miedziowych na terenie całej Polski”. I ja przez pięć lat tylko to robiłem. Przeanalizowałem około stu otworów nawierconych przez Naftę i wcześniej przez inne firmy. Myślę, że jestem jednym z nielicznych geologów, który ma tak kompletne rozpoznanie, jeśli chodzi o możliwości i perspektywy miedziowe w Polsce. Bo nie tylko tutaj, w strefie południowej, zajmowałem się złożami, gdzie przewiercane były utwory miedzionośne. Nafta wierciła też na północy kraju. Miejscowości tych nie wymienię, między innymi z tego powodu, że przygotowuję na ten temat publikację. Ze wszystkich tych otworów opracowywałem dokumentację mineralizacji miedziowej i składałem ją w KGHM. W każdym razie w rejonach północnych Polski otwory naftowe też zawierały tę formację z interesującą mineralizacją. Mogę też powiedzieć, że jest takie miejsce, znajduje się około 170 kilometrów od Lubina, które ma wyższą mineralizację niż kopalnia Rudna i to nie w jednym, ale w trzech otworach.

■ **Czy pracując w Nafcie, miał pan okazję spotykać się z doktorem Janem Wyżykowskim?**

Doktor Wyżykowski był nieco starszym ode mnie absolwentem AGH, ale dosyć często po-



Kopalnia Polkowice. Od lewej Edward Kienig, kierownik robót Zbigniew Szabla i Tadeusz Machoń.

jawiał się w Pile. Był pogodnym, szczerym i bezpośrednim człowiekiem, natomiast w Instytucie Geologicznym, z oczywistych względów, nie miał zbyt wielu przyjaciół. Jego odkrycie było przedmiotem zazdrości.

Ogromny wpływ na pewne jego koncepcje wywarł profesor Adam Tokarski, który w tym czasie (1955-1961) był organizatorem poszukiwań złóż ropy i gazu na Niżu Polskim. Profesor regularnie przejeżdżał do Piły i również profilował otwory, pobierał próbki do badań szczegółowych. Wiem, że rozmowy między dr. Wyżykowskim a profesorem Tokarskim odbywały się na bieżąco, ponieważ w niektórych uczestniczyłem.

■ **Kontakty Jana Wyżykowskiego z prof. Adamem Tokarskim miały znaczenie dla późniejszego odkrycia miedzi?**

Oczywiście że tak. Powiem więcej, odkrycie Polskiej Miedzi należy zawdzięczać przemysłowi naftowemu, bo kiedy jeszcze nie było w lubińskim rejonie poszukiwań miedzi, w okolicach Wschowy, w niewielkiej odległości od Lubina, Przedsiębiorstwo Poszukiwań Nafty odwierciło 3 otwory:

Wschowa 1, Wschowa 2 i Wschowa 3. We wszystkich natrafiono na mineralizację miedziową o wartościach przemysłowych. Dla geologa było więc oczywiste, że trzeba szukać tej mineralizacji pod pewnym kątem na terenach południowych monokliny przedsudeckiej, gdzie złóż ma tendencję wznoszącą. I pierwszy otwór doktora Jana Wyżykowskiego na łączce, tu w Lubinie, potwierdził występowanie miedzi takiej, jak w otworach wierconych przez Naftę.

Odrabiając nakaz, miałem możliwość analizowania ich od strony dokumentacyjnej. Niektóre z nich były wiercone jeszcze wcześniej, nim przyszedłem do pracy w Pile. I nie ulega wątpliwości, że one właśnie przyczyniły się, a nawet zadecydowały o powodzeniu odkrycia złóż miedzi w Lubinie.

■ **Jak wyglądało pana pierwsze spotkanie z Lubinem?**

Pierwszy raz, a było to na początku mojej pracy w przemyśle naftowym, przyjechałem do Lubina z ciekawości, by zobaczyć jak to miasteczko wygląda. Wysiadłem na dworcu kolejowym. Szedłem ulicą Poczтовую (późniejsza Odrodzenia), choć

o ulicach trudno było mówić, i zobaczyłem, że w rynku koło ratusza chodziły sobie kury. Jednak w niedługim czasie wiejskie oblicze miasteczka uległo metamorfozie...

■ Kiedy ruszyły prace o charakterze górnictwym, rozpoczęto również bardzo intensywnie budowę bloków mieszkalnych, praktycznie mieszkania tutaj czekały na ludzi.

Po przejściu do kombinatu zakwaterowano mnie w hotelu D-I. Zaprzyjaźniłem się z dyrektorem ekonomicznym Kazimierzem Skibickim. Któregoś razu zapukał do mnie, stanął w drzwiach i mówi: „Będziesz ukarany!”. Zaprosiłem dyrektora do siebie i proponując mu kieliszek koniacku spytałem, o co chodzi. Zaczął: „Jutro o dziewiątej przychodzisz do mnie i dostajesz przydział na mieszkanie, na Osiedlu Staszica”. Odrzekłem: „Po co mi mieszkanie, jestem samotnym człowiekiem, mam wygodny pokój, za oknem zieleń, staw, spokój”. Dyrektor swoje: „Bez mieszkania, to się nigdy nie ożenisz!”. Wziąłem więc tę bardzo fajną kawalerkę. No i stało się. W tamtym czasie poznałem magistra Kota, który także pracował w KGHM. Okazało się, że jego żona (lekarz) jest moją krawianką. Z tego powodu państwo Kotowie często zapraszali mnie do siebie. Kiedyś na imieninach pani domu poznałem młodą lekarzkę Teresę Stępniewską, która przysłała na staż do szpitala miejskiego. Tak się złożyło, że później została moją żoną i pracowała w miejscowym szpitalu. Początkowo zajmowaliśmy kawalerkę, ale bardzo szybko napisałem wniosek o docelowe mieszkanie i dostaliśmy piękne M-5 przy Cedyńskiej.

■ Należał pan do drugiej grupy geologów, geofizyków, hydrogeologów, którzy przybyli do Lubina w latach 60. już ze sporym doświadczeniem zawodowym. Jaki zakres obowiązków powierzono panu?

Dokładniej to przyjechałem do Lubina w 1965 roku. Dostałem angaż w Dziale Geologicznym jako starszy geolog w Zespole Nadzoru Budowy Kopalni Lubin. Zajmowałem się geologiczną stroną robót przygotowawczych i eksploatacyjnych na szybie L-I i L-II. Obowiązki te nie nastręczały mi trudności. Myślę nawet, że praca w Nafcie była bardziej ciekawa. Oczywiście inspirowałem tutaj różne działania, m.in. opracowywałem tektonikę górotworu. Kiedy wszystko zostało rozpoznane, codzienność geologa zaczęła mnie nawet nudzić.

■ To było impulsem, by myśleć o przejściu do Zakładów Badawczych i Projektowych Mie-dzi „Cuprum” we Wrocławiu?

„Cuprum” w tamtym okresie były dla mnie oknem na świat. Doktor Jan Tomaszewski, kierownik Zakładu Geologii Stosowanej namawiał mnie, żebym przeszedł do niego. Oczywiście ta decyzja tak łatwo nie zapadła, bo oznaczało to nowe problemy, ale nigdy nie bałem się wyzwiać. W 1970 roku objąłem stanowisko adiunkta w pionie naukowym ZBiPM „Cuprum”. Doktor Tomaszewski, który kierował pracami badawczymi nad pogłębieniem rozpoznania złoża rud miedzi w obszarze Lubin-Sieroszowice, zainicjował badania nad problematyką występowania tąpań w kopalniach rud miedzi. Powierzył mi tę dziedzicę, którą zajmował się już Tadeusz Machoń. Ja miałem go wesprzeć.

■ Pamięta pan pierwsze tąpnięcie?

Pierwsze tąpnięcie to nawet w jakiś sposób przewidziałem, bo kluczem do sukcesu eksploatacyjnego było poznanie budowy tektonicznej złoża. Cała tajemnica polegała na tym, że mamy tu do czynienia z młodą alpejską orogenezą, a ściślej mówiąc z ostatnią fazą larmijską (końcem kredy). Później era kenozoiczna miała jedynie dwa okresy: trzeciorzęd, który przyniósł jedynie drobne przemieszczenia oraz trwający do dziś czwartorzęd. Prowadzone roboty górnicze naruszają określoną strukturę tektoniczną, po wyeksploatowaniu złóż te płyty zaczynają się przemieszczać. Ilekroć te płyty drgną, to mamy zjawisko tąpań. Znajomość tektoniki jest podstawą w opracowaniu technologii eksploatacji. Na „Lubinie”, a dokładniej we wschodniej części kopalni, mamy do czynienia z sytuacją, gdzie dwie płyty tektoniczne na końcu złoża się stykają. W związku z tym w naszych rozmowach wewnętrznych mówiliśmy, że kiedyś to musi tąpnąć, to tylko kwestia czasu. Oczywiście na początku w ogóle obowiązywał zakaz mówienia o tąpniach. Wymyślono nawet dziwny zamiennik. Mówiło się: „dynamiczne przejawy ciśnień górotworu” w miejsce słowa „tąpnięcie”.

■ Znaleźli się jednak dwaj dociekliwi geolodzy: Tadeusz Machoń i Edward Kienig, którzy w 1971 roku napisali krótki artykuł o znanym tytule: „Możliwość występowania tąpań w LGOM”.

Artykuł opublikowany został w branżowym miesięczniku zjednoczenia katowickiego „Rudy i metale nieżelazne” i spowodował ogromną burzę. Oczywiście był poprzedzony głęboką analizą i opracowaniem w „Cuprum”. Człowiekiem, który inicjował kierunki prac badawczych był doktor Tomaszewski, kierownik Zakładu Technologii Stosowanej. W czasie kiedy ten artykuł się ukazał, szefem „Cuprum” był dyrektor Stanisław Koziański. Nawiasem mówiąc, specjalnie nas nie bronił, zwłaszcza że otrzymał polecenie odgórne, by wyprostować sprawę. Potem doszło do kolejnych tępaków, toteż ostatecznie sama natura wzięła nas w obronę.

■ W tym czasie sposobem na spełnienie zawodowe były liczne prace naukowe. W 1978 roku znalazła się wśród nich również pana rozprawa doktorska...

To było logiczne następstwo mojej współpracy z prof. Erastem Konstantynowiczem. Zawsze przekazywałem profesorowi jeden egzemplarz materiałów, które opracowywałem. Omawiałem je z nim na różnych spotkaniach. W związku z tym, kwestią czasu była propozycja otwarcia przewodu doktorskiego. Profesor powiedział mi kiedyś, że zgromadziłem materiał na 50 prac doktorskich. Któregoś razu stwierdził: „Niech pan sobie wybierze jakiś bardziej interesujący fragment i go rozpracuje dogłębnie, zrobimy z tego doktorat”. Pisałem pracę doktorską na temat „Wpływu budowy geologicznej na mineralizację miedziową w zachodniej części monokliny przedsudeckiej”.

Rozpracowałem problem od strony złożowej, geologicznej, tektonicznej i mineralogicznej. Z pisanem pracy trochę się wlokłem, pan profesor nawet się denerwował. Obiecałem mu, że skończę w terminie. Wziąłem miesiąc urlopu w ziemie i dotrzymałem słowa. Obrona przebiegła bezproblemowo, recenzent nawet zawnioskował o specjalną nagrodę do ministerstwa przemysłu. Wniosek poszedł, ale nie było żadnej odpowiedzi.

■ W późniejszych latach objął pan kierownictwo Zakładu Geologii Stosowanej, a potem funkcję zastępcy dyr. ds. naukowo-badawczych ZBiPM „Cuprum”. Jak ocenia pan tamten okres?

To był bardzo twórczy czas. W Zakładzie zarówno pion naukowy jak i projektowy prezentowały bardzo wysoki poziom. A kiedy dyrektorem

naczelnym „Cuprum” został człowiek z Węgla - doc. dr Kazimierz Franasik, zaczął się dla firmy złoty okres. Dzięki wspólnej pracy ludzi ambitnych i świetnie przygotowanych w Zakładzie Geologii od podstaw została opracowana mechanika górotworu. Można było mówić o funkcjonującej przez szereg lat cuprowskiej szkole mechaniki górotworu, a ja byłem jednym z jej uczestników i czułem się wtedy człowiekiem zawodowo spełnionym.

■ Ma pan na swoim koncie 14 patentów. Mógłby pan wspomnieć jakieś szczególnie spektakularne ich zastosowania?

Kiedyś, gdy byłem dyrektorem naukowym w Naukowym Zakładzie Górniczym, zadzwonił do mnie późnym wieczorem minister hutnictwa i przemysłu maszynowego Janusz Maciejewicz, wcześniej dyrektor generalny KGHM, i mówi: „Słuchaj, musisz zmontować doborową ekipę i zająć się kopalnią Bogdanka. Tam są trzy szyby, jeden został zasypany w trakcie głębenia, na drugim, gdzie prace są zaawansowane, wypaczyła się obudowa i szyb stracił pionowość, a trzeci zgłębniony jest czynny, ale jak go nie uratujesz, to on się zawali i całe zagłębienie szlag trafi”. Zacząłem kompletować ekipę. We Wrocławiu znali mnie już z tego, że często przyjmowałem pracowników wyrzucanych z instytucji badawczych. Działo się tak, gdyż wielokrotnie w życiu doświadczyłem, że tylko wybitni nie mieszczą się w kryteriach „od przecinka do kropki”.

■ Zapamiętał pan chociaż jedną z tych wybitnych postaci?

Jeden ze zwolnionych był człowiekiem samotnym i miał psa. Codziennie skoro świt wychodził z czworonogiem na spacer. Zwierzak nieraz się ociągał i wyrwał, więc ten człowiek co rusz spóźniał się do pracy. Pojechałem do niego, przepytalem. Zrobił na mnie rewelacyjne wrażenie i z miejsca go zatrudniłem, proponując ruchomy czas pracy. Powiedziałem mu: „My pracujemy od siódmej do piętnastej, a pan może przychodzić do pracy w przedziale od siódmej do dziesiątej. Dobrze by było, żeby pan się w tych widełkach zmieścił, bo nasza kadrowa jest bardzo skrupulatna”. I tego człowieka również włączyłem do tego Zakładu Górniczego „Cuprum”, gdzie między innymi robiono plastobeton. Tam też została opracowana i opatentowana metoda uszczelniania szybów

miedziowych. Kiedyś, gdy dochodziło do wycieku w szybie, na czas remontu wstrzymywało się wydobyć. Dzisiaj, po opracowaniu tej metody, robi się to w ruchu, w razie potrzeby, na nocnej zmianie spuszcza się do tego miejsca specjalny pomost i szybko się sprawę załatwia.

■ A jak uporaliście się w Bogdancie z wyciekami wody do szybu?

Do szybu w Bogdancie sphywały dwa metry sześciennie wody na minutę, które stałe wypom-

wy uniemożliwiający powstanie jakiegokolwiek przecieku.

■ A problem w robotach podziemnych?

Nie ma takiej obudowy, której by ciśnienie nie zniszczyło, dlatego wspólnie z Instytutem Górnictwa zaproponowaliśmy obudowę o kształcie eliptycznym, czyli by oś dłuższa była leżąca, a krótsza stojąca w pionie. Te eliptyczne elementy obudowy miały funkcjonować na zasadzie klina wbijanego zacięciem do dołu i rozsa-



„Polkowice” 1975 rok, poziom 810. Od lewej: T. Machoń, J. Kaszper, E. Kienig i J. Kopeć.

powywano. W efekcie woda wypłukała skałę za obudową i istniało zagrożenie, że w pewnym momencie ciśnienie hydrostatyczne będzie tak wysokie, że po prostu tę obudowę złamie. Zastosowaliśmy więc specjalne żywice z różnymi dodatkami, które to pod dużym ciśnieniem wtłaczano za obudowę. Żywice te wiązały się ze skałą i stworzyły jakby nowy pierścień obudo-

dzającego materiał tak, że część tego materiału idzie do góry, a część do dołu. Wykonaliśmy w tej obudowie ujęcia wodne, sprowadzające wodę do chodnika odwadniającego, zaproponowaliśmy przesunięcie w pionie układu odwadniającego o trzy metry w stosunku do wyrobisk odwadniających. Tak więc ciśnienie za obudową już nie powstawało, było zdejmowane.

■ I Bogdanka działa, i pierwszy szyb ustabilizowany żywicami stoi...

Wszystko działa w najlepsze. Pamiętam, na tym specjalnym zespole powołanym przez ministra Maciejewicza referowałem, jak będziemy ratować kopalnię. Użyłem wówczas określenia, że to nasze medium (również opatentowane) będziemy wtłaczać przez śrubę tubingową. Na sali w tym momencie zapanowała absolutna cisza. Pan prof. Chudek z Politechniki Śląskiej podniósł rękę i mówi: „Panie przewodniczący, chciałbym prosić o 15 minut przerwy”. Podszedł do mnie i mówi: „Niech mi pan coś wytłumaczy, jak przez śrubę tubingową można coś wciskać?”. Z zadowoleniem odpowiedziałem: „Panie profesorze, to są śruby przez nas wymyślone i przez nie można wtłoczyć ogromną ilość różnego medium na zewnątrz obudowy”. I było zgodne z prawdą, bo takie śruby także były naszym patentem. Profesor chciał wiedzieć, jak one wyglądają. Nie powiedziałem mu tego, ale odesłałem do wniosków patentowych.

■ Pod koniec lat osiemdziesiątych wrócił pan do ZG Lubin na stanowisko głównego inż. geologa, kierownika Działu Geologicznego. Czym podyktowana była ta decyzja?

„Cuprum” w tym czasie chyliło się. Zlikwidowano pion projektowy, pozostała część badawcza znajdowała się w stanie szczytkowym. Po 89. roku nie było strategii rozwoju. Oczywiście sprawy finansowe też nie pozostały bez wpływu na decyzje o powrocie do „Lubina”. No i przecież wracałem do środowiska, z którego problemami nigdy się nie rozstałem.

■ Miał pan jeszcze wiele innych ciekawych epizodów życiowych, działalność związkową, parlamentarną (senator RP III kadencji). Skąd w panu tyle aktywności?

Należę do pokolenia, które wiele przeszło. Kawałek okresu międzywojennego, okrucieństwa wojny i okres powojenny, który był nie mniej trudny. Ludzie ginęli nie wiadomo dlaczego. Do mojej rodzinnej miejscowości wpadła banda w mundurach polskich i wyprowadziła trzy osoby z domu. Rozstrzelano je pod lasem. Pana Drabika za to, że jako rzemieślnik reperował broń. On sobie nawet nie zdawał sprawy, że to broń AK.

Wież funkcjonowała w tym czasie w bardzo koszmarnych warunkach. Był ogromny nacisk na

kolektywizację. W późniejszym czasie gnębiono rolników obowiązkowymi dostawami oraz specjalnym podatkiem na Fundusz Rozwoju Rolnictwa. Żeby przetrwać te zmienności i pomysły kolejnej władzy, trzeba było zachować dystans i czujność.

■ Przejście na emeryturę w 1998 roku było dla pana czasem wyhamowania działalności?

Ależ skąd. Ostatnie cztery patenty zrobiłem już na emeryturze. Ich współautorem jest dr inż. Henryk Kurzydło, wybitny inżynier w swojej profesji. Dotyczy eksploatacji podziemnej węgla brunatnego występującego w okolicach Legnicy, Ścinawy i Lubina. Opatentowany został system eksploatacji złoża i jego podziemne zgazowanie. Są miejsca, gdzie to złożo może być bardzo trudno dostępne dla eksploatacji podziemnej. Na przykład tu gdzie siedzimy, złożo znajduje się na głębokości 100 metrów, natomiast 50 km dalej na północ, na 400 metrach. W związku z tym zróżnicowaniem eksploatacja mogłaby być mało opłacalna. Zaprojektowaliśmy więc upadowe z powierzchni w formie trzech równoległych wyrobisk, którymi wprowadza się maszyny i udostępnia złożo. Opracowaliśmy podziemną eksploatację złoża oraz jego zgazowanie metodami akceptowanymi przez społeczność. To są nasze najświeższe patenty.

■ I nie ostatnie?

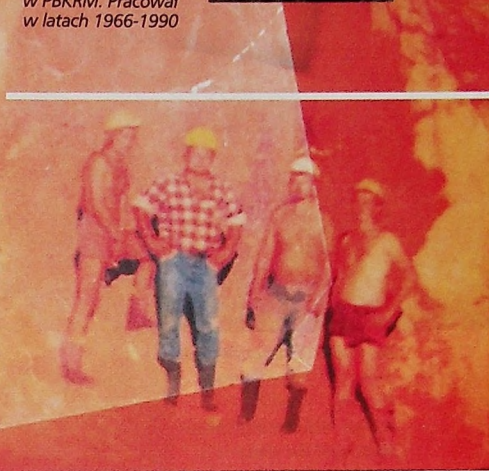
Jeśli o mnie chodzi, to chyba jednak ostatnie. Czuję już trochę niechęć do angażowania się w sprawy zawodowe.

■ Skąd nowe zainteresowanie pszczołami?

Pszczoły to mój atawistyczny powrót do przeszłości. Wcześniej nie znałem zupełnie nazw różnych krzewów, kwiatów, ale pszczoły zmusiły mnie do tego, bym je poznał. Teraz studiuję przyrodę. Kupiłem działkę pod Wrocławiem, mam 50 uli i sadzę tam różne drzewa, wszystkie pod kątem pszczoł. Opanowałem nawet własny system sadzenia drzewek - skuteczny o każdej porze roku. Moją pasją zawsze była genetyka. Zamierzam wyhodować nowy, ulepszony gatunek pszczoły. Praktycznie większość dni spędzam pod lipami wśród pszczoł. ■

**Zlecenie nie było proste. Planowane szyby naporowe miały 183 metry wysokości i około 40 stopni nachylenia. Musieliśmy nauczyć się nowej technologii wykonywania ponad 180 metrowych nadsiewłomów metodą Alimak Rice Climer, czyli od dołu do góry. Pojechałem z ludźmi do Boguszo-
wa, gdzie w kopalni barytu prowadzili pionowe roboty podobną metodą i po kilku tygodniach nauki, w czerwcu 1981 roku, z ekipą sześciu górników wyjechałem do Hondurasu.**

Janusz Matuszyk, sztygar zmianowy, oddziałowy, objazdowy, nadsztygar, kierownik robót górniczych, kierownik działu postępu technicznego, kierownik działu eksportu w PBKRM. Pracował w latach 1966-1990



Od Meksyku po Argentynę... czułem się jak w domu

Z urodzenia jest cieszyńianinem, podobnie jak jego rodzice, a dokładniej Przedolziakiem, bo tak nazywano mieszkańców Cieszyzna, którzy w 1919 roku znaleźli się przed Olzą. Tych zza Olzy zwano Zaolzioki. Zarówno jedni jak i drudzy od zawsze czuli swoją narodową odmienność, bo przecież historycznie rzecz ujmując byli potomkami mieszkańców Księstwa Cieszyńskiego.

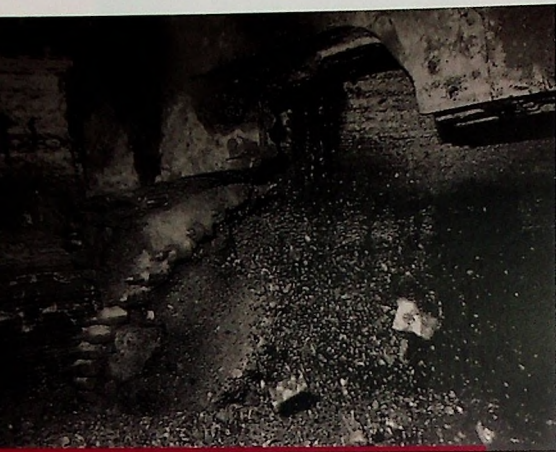
– W księstwie obowiązywał język polski, a właściwie stara gwara małopolska, pod względem narodowościowym najbliżej nam do Polaków – nawiązuje do swoich korzeni Janusz Matu-

szyk. – Mówiło się jednak: „My som Cieszyniocy, a Polska jest Polska”.

W powojennej Polsce podjął studia na Politechnice Śląskiej. Do Gliwic na uczelnię dojeżdżał autobusem z Cieszyzna. Po ukończeniu nauki na Wydziale Górniczym, rozpoczął pracę w kopalni Mortimer-Porąbka.

– Początkowo miałem niewiele obowiązków. Jako nadgórnik też nie byłem specjalnie obciążony, ale gdy zostałem sztygarem, to już musiałem się zwinąć jak w ukropie. Z jakiegoś powodu układali mnie na nocne zmiany, kiedy to zwykłe

odbywało się przesuwanie przenośników pancernych. Rozbieraliśmy je na elementy, a potem łączyliśmy i przekładaliśmy całość o jeden zabiór węgla do przodu. Ciężko się pracowało, jednak brygady były doświadczone, toteż jako młody



Kombajn KBS-1 podczas pracy.

sztygar większych problemów nie miałem – przyznaje Jan Matuszyk.

Na studiach fascynował się turystyką, był nawet prezesem Akademickiego Klubu Turystycznego, stąd pierwszą inicjatywą, którą zabył na „Mortimerze” (1965 rok) był Zlot Turystów Górniczych w Brennej. Impreza udała się nad wyraz i bardzo spodobała się ludziom. Mimo że nieco później sam jej pomysłodawca zmienił miejsce pracy, zakorzeniła się na stałe w kalendarzu lokalnych imprez gwareckich.

■ **Potrzebowałem mieszkania z pracą**

Jeszcze w czasach studenckich poznał Krystynę, przyszłą żonę. We wrześniu 1966 roku urodziła się Matuszykom córka Magdalena.

– W tym czasie mieszkaliśmy u teściów w Bukownie. Dojazd do kopalni trwał wiele godzin. Musiałem o dwudziestej iść spać, niemal w środku nocy wstawałem, by zdążyć na pociąg o 3.40 do Kazimierza. Stamtąd do kopalni Mortimer-Porąbka szedłem cztery kilometry po otwartej przestrzeni, gdzie wiało i gwizdało. Po dwóch latach tej męczarni dojrzałem do zmian – przyznaje pan

Matuszyk. – Zaczęłem szukać mieszkania z pracą. W zagłębiu olkuskim mówiono o powstającym na Dolnym Śląsku nowym zagłębiu miedziowym. Poprosiłem o parę dni urlopu i w ciemno pojechałem do Warszawy, do Zjednoczenia Górnictwa Rud, by szukać informacji u źródła. Pierwszym napotkanym człowiekiem był Janusz Karwacki, były dyrektor Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń Rud Miedzi w Lubinie, który zachęcał mnie, bym jechał na Miedź. Jak się potem przekonałem, najprawdopodobniej zaprotegował mnie dyrektorowi Włodzimierzowi Grodzickiemu, bo kiedy wreszcie dotarłem do Lubina i zgłosiłem się do zarządu, dyrektor pytał wprost: „Co chciałbyś?”. A ja recytowałem, że pracę z mieszkaniem, bo się urodziło nam dziecko. Moje oczekiwania były realne, dlatego z końcem 1966 roku pełen rozterek odszedłem z kopalni Mortimer-Porąbka do zagłębia miedziowego.

■ **Uczył mnie Bolesław Prus**

Młody inżynier Matuszyk otrzymał skierowanie na Polkowice Zachodnie i rozpoczął pracę jako sztygar zmianowy. Zamieszkał w hotelu D-to przy dyrekcji w Lubinie.

– Zostałem przydzielony do głębinia szybów P-V i P-VI. Kierownikiem piątki był Bolesław Prus a szóstką Jurek Stefański. Nim trafiłem na P-VI, Bolesław Prus wziął mnie do siebie na przeszkolenie. Właściwie to on nauczył mnie górnictwa – wyznaje pan Janusz. – Miał do tego wielki talent i chętnie przekazywał swoją wiedzę. A była mi potrzebna, bo wykształcono mnie do organizowania roboty na ścianach węglowych. Tutaj trafiłem do budownictwa górniczego, które wiązało się z głębinieniem szybów, spuszczeniem kubków, instalowaniem maszyn wyciągowych itp. Na studiach w Gliwicach niewiele się dowiedziałem. Kształcono nas na „oficerów produkcji”, czyli tych, którzy będą gonili za tonami. Co prawda mieliśmy teorię projektowania kopalni itd., ale w praktyce specjalnych zajęć nie było. Oczywiście wiedziałem, co to są pompy cementacyjne, jak działają, do czego służy kubek, co to jest rurociąg kubelkowy itp. Jednak dopiero tutaj pierwszy raz ten rurociąg widziałem; miał elastyczne naczynka w kształcie lejów pozakuwane na dwóch linach. Transportowało się w nich beton ze zbiornika na górze,

na pomost, skąd tłoczono go za obudowę. W ten sposób betonowało się dookoła szalunki nazywane też opałupkami (nazwa z języka rosyjskiego), bo wcześniej pracowali tu specjaliści radzieccy – wspomina pierwsze lata. Początkowo sztygarował wymiennie – raz na P-V, a innym razem na P-VI. Dzięki temu poznał wielu ludzi, zwłaszcza sztygarów. Z czasem nawiązały się między nimi bliskie więzi, jak w rodzinie, bo młody inżynier Matuszyk szanował ludzi i był otwarty na ich potrzeby.

– Na Śląsku jak sztygar miał dniówkę, to brał swoich ludzi, szedł z nimi na odcinek i tam razem robiliśmy swoje – objaśnia. – Na Miedzi była sztygarówka, do której, po rozdzieleniu ludziom

nusz otrzymał zakładowe mieszkanie w Lubinie, przy ulicy Mickiewicza. Trzy pokoje z kuchnią, co prawda w budownictwie oszczędnościowym z gipsowymi podłogami, ale był to pierwszy w życiu własny kąt. Pani Krystyna znalazła zatrudnienie na oddziale pediatrycznym szpitala miejskiego w Lubinie. Najpierw jako asystentka szefa oddziału, potem jego zastępczyni, a następnie przez wiele lat ordynator oddziału.

Kariera zawodowa pana Janusza także się rozkręcała. Po dwóch latach od przyjęcia się do PBKRM usłyszał: „Będziesz awansował na kierownika”. Po egzaminach w UG we Wrocławiu i zdobyciu uprawnień sztygara oddziałowego został kierownikiem poziomu 810 na Polkowicach Zachodnich.

– Był to pierwszy poziom, na którym zatrzymywały się kubły. Rozpoczynaliśmy roboty poziome, problemów mnóstwo zarówno z powodu trudnych warunków geologicznych jak i zawodnienia. Początkowo o dużych zabiorach nie było w ogóle mowy. Pamiętam obawy towarzyszące pierwszemu odpaleniu przodków i strach, by strzały nie uszkodziły wszystkich urządzeń szybowych. Wiesaliśmy organy, czyli zabezpieczające słupy drewniane, przybijane kłami na łańcuchach. Najpierw urabialiśmy złożę po metrze, potem

po dwa, trzy, następnie zaczęliśmy jechać coraz ostrzej, i w końcu poziom 810 został w pełni uruchomiony – wspomina pan Matuszyk.

Było to w 1969 roku, ktoś bardzo ważny przyjechał i powiedział: „Chłopcy, musicie zrobić rekord”. Dostali z tej okazji przydział na siedem nowych wiertarek – Panter. Wspomina, że przyjeżdżali miernicy, bo gdzieś na szybie L-IV wychwycono, że w liczeniu wydobytych metrów rudy dochodziło do przekłamań. Żeby wszystko było jak należy, bez przekrętów, urobek mierzono podwójnie. Raz



Twórcy kombajnu szybowego w otoczeniu kolegów i współpracowników. Od prawej Janusz Matuszyk, Ireneusz Bratek, Jerzy Lintner (czwarty od prawej), obok Piotr Nowakowski.

pracy, sztygar mógł wrócić (jak się nic nie działo), położyć się na ławie i przekimać resztę czasu. Ja tak nie potrafiłem. Gdy tylko się uporałem z papierkową robotą, wsiadałem do kubła i zjeżdżałem na dół, bo tam, na dole, czułem się najlepiej. Zauważyłem też, że ten styl pracy podobał się moim przełożonym.

■ **Pantery dla rekordu**

W życiu prywatnym Matuszykom się układało. Po trzech miesiącach od podjęcia pracy pan Ja-

robiły to służby kopalni Polkowice, których szefową była wówczas mgr inż. Krystyna Bączkowska, a drugi raz przez własną firmę, czyli PBKRM.

– Do bicia rekordu przystąpiły 3 brygady, czyli 21 osób. Dziennie wykonywaliśmy sześć strzałów

sy robót, tworzył nowe brygady. W szczytowym okresie zarządzał grupą około 250 ludzi.

– Zarabialiśmy wyjątkowo dobrze, oprócz pensji otrzymywaliśmy dodatkową kasę za wykonanie zadań przed terminem. Nie zawsze nadprogramo-

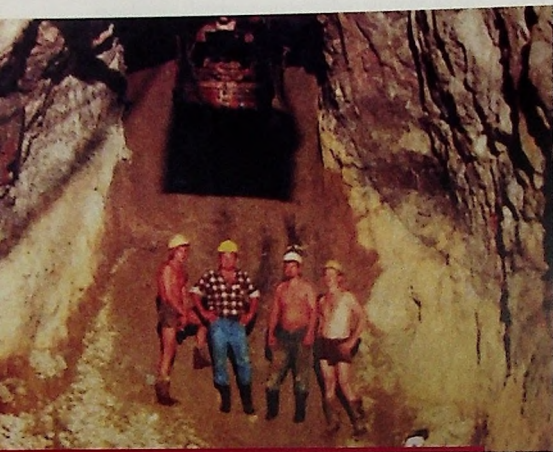
wy przyływ gotówki był roztrąpie wydawany – przynajmniej bez ogródek. – W zakładzie picie alkoholu nie było czymś szczególnie nagannym, a po pracy często „fedrowało” się na imprezie w lokalu.

– Przez przypadek zajrzałem kiedyś do kalendarza Krystyny i zaskoczyło mnie, że niektóre dni są zaznaczone kółkiem. Gdy poprosiłem o wyjaśnienie, odpowiedziała: „To są dni twoich późnych powrotów do domu”. Patrzyłem i nie mogłem uwierzyć. Tygodni bez zakreszeń było zdecydowanie mniej. To odkrycie mną wstrząsnęło – przynajmniej. – Postanowiłem możliwie najszybciej zmienić tę sytuację. Miało to poniekąd związek z moją znajomością języka angielskiego. Niestety kończąc studia, znałem około 150 słów. Pech chciał, że kiedyś kopalnia została wytypowana do opieki nad studentami zagranicznymi. Wezwał mnie magister Zapala, szef działu szkoleniowego kopalni i mówi: „Kolego, będziecie opiekunami dwóch studentów: Jugosłowianina

i Holendra, obaj mówią po angielsku, a wy tutaj deklarujecie znajomość języka”. To była katastrofa – przynajmniej krytycznie – Rzuciłem się łapczywie na książki do angielskiego, ale w krótkim czasie cudów się nie zrobi. Kiedy przyjechali studenci, posiłkowałem się swoim szczątkowym angielskim, podparłem go niemieckim (byłem przecież Ślązakiem) oraz manualnymi zdolnościami i jakoś przetrwałem półtora miesiąca.

Pan Janusz Matuszyk wyciągnął także wnioski na przyszłość. Gdy wkrótce okazało się, że firma organizuje kursy języka angielskiego, znalazł się wśród młodych zainteresowanych nauk inżynierów.

– Nie pasowała mi wieczorowa pora zajęć (pracując na dole, byłem obkładany na różne zmiany), starałem się jednak nie opuszczać żadnej godziny. Po zakończeniu kursu szlifowałem angielski samodzielnie, konsekwentnie codziennie zaglądałem nie tylko do książek, ale także do anglojęzycznych pism technicznych – wspomina z satysfakcją. – W pewnym momencie napisałem też podanie



Honduras (1981 r.). U podnóża szybu naporowego, od lewej Wojciech Przeglasiński, Janusz Matuszyk, Tadeusz Walecki, Werner Pinisz.

po 3,2 metra każdy. W listopadzie nasza ekipa zakończyła trwające 30 dni drążenie przekopu do zbitcia z Polkowicami Głównymi. Przekop miał w jednej nitce 403,6 metra, co stanowiło wtedy absolutny rekord – podkreśla pan Matuszyk. – To był wielki wyczyn. Nie sposób dziś wyróżnić kogokolwiek, bo na uznanie zasłużyli wszyscy. Pamiętam jednak, że przodującą brygadę prowadził Kazimierz Kurgun, ale pozostałe nie odstawały znacząco.

Rekord odbił się szerokim echem, jego bohaterowie otrzymali medale „Zasłużony dla LGOM”. Z tej okazji dla zwycięzców zorganizowano w NOT duże przyjęcie z udziałem samego ministra Kuczmy, a wydarzenie relacjonowała wrocławska telewizja.

■ To odkrycie mną wstrząsnęło

Janusz Matuszyk przynajmniej, że praca pochłaniała go niemal bez reszty, była ciągłą walką z naturą, liczyły się w niej przede wszystkim metry i tony. Kierując poziomem 810 rozszerzał zakre-

do dyrektora, żeby mnie przenieśli do pracy inżynierskiej, ponieważ nie widziałem się w roli dożywotniego sztygara oddziałowego. Moja prośba została wysłuchana. Trafiłem do Działu postępu technicznego, gdzie zostałem głównym specjalistą do robót podziemnych, urabiania i obudowy.

■ Śruby same się rozkręcały

Z początkiem lat 70. modernizacja przemysłu stała się ogólnopolskim programem. Również i w Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń Rud Miedzi twórczość wynalazcza i racjonalizatorska napotkała właściwy grunt.

– Gdy w 1971 roku znalazłem się w Dziale postępu technicznego, pracowaliśmy nad modernizacją urabiania górotworu. W tym czasie głęboko zmrożone twarde trzeciorzędowe skały urabiało się jeszcze młotami ręcznymi. Ludzie od dawna narzekali, że ta fizyczna robota jest jakimś strasliwym koszmarem i fabryką kalectwa, dlatego pierwszym moim zadaniem było rozwiązanie tego problemu. Odnalazłem kilka wniosków racjonalizatorskich złożonych wcześniej, np. montowanie trzech zespołowych młotów pneumatycznych.

Niestety vibracje tych młotów nakładały się na siebie, pod wpływem drgań o ogromnej częstotliwości śruby się same rozkręcały i rozpryskiwały na boki. Huk stawał się nie do wytrzymania, stąd przebywanie w pobliżu tych robót było niemożliwe – podkreśla pan Matuszyk. – Mieliliśmy szyb doświadczalny na Zachodnich Polkowicach, gdzie prowadziliśmy różne eksperymenty, np. testowaliśmy wspólnie z WAT-em strzelanie tzw. przeciwsobnowłoczne. Metoda ta okazała się nie warta, gdyż od tych wstrząsów pękały rury mrozeniowe. Inną sprawą, że te pierwsze rury były kiepskiej jakości. W związku z tym wpadliśmy na pomysł, żeby wykonać dookoła ściany szczelinę, która uniemożliwiałaby przenoszenie fali uderzeniowej w głąb górotworu.

■ W gazetach i w telewizji

Kiedy PBKRM przeszło pod zjednoczenie częstochowskie, okazało się, że w Łęczycy jest wolna

wrębówka, przy pomocy której dałoby się taką szczelinę wykonać.

– Pojechaliśmy po nią – nawiązuje do sprawy pan Matuszyk. – Było to urządzenie o silniku zajmującym więcej niż połowę jego kubatury, z przekładniami po bokach i rurą, z której wysuwał się potężny ząb, mający w założeniu podcinać ścianę, aby ją łatwiej urabiać. Nasz zdolny inżynier Jerzy Lintner zaprojektował, a następnie wykonał dookoła szybiku odpowiednią ramę i koła – i wrębówka zaczęła chodzić. Niestety ciągle kleszczyła



Chile (1988 r.). Janusz Matuszyk z pupilką Lorą przed kempusem.

się na łukach, uznaliśmy więc, że urządzenie to lepiej by funkcjonowało, gdyby było kombajnem. Ludzie z częstochowskiego zjednoczenia powiedzieli nam, że mają jeden kombajn w zapasie, który leży gdzieś na placu. Pojechałem ciężarówką z kierowcą Adamczykiem Heniem i go przywieźliśmy. Jurek zrobił mu elegancką konstrukcję, trzeba było też wykonać jeszcze parę rzeczy nietypowych, między innymi zwinąć ogromną rurę umożliwiającą manewrowanie głowicą kombajnu po całej przestrzeni przodka szybowego. Nikt nie potrafił jej tutaj zwinąć. Z pomocą przyszedł Piotr Nowakowski, miał szwagra w Zakładach Chemicznych w Kielcach i tam nam ją zwinęli. Po dwóch latach starań powstał pierwszy kombajn bębnowo szybowy. Był to ogromny bęben z głowicą urabiającą, najeżoną nożami. Maszyna zadawała mu obrót, by jeździł dookoła po szynie, frezując czoło przodka. Testowanie kombajnu rozpoczęliśmy w 1974 roku, w szybie R-X.

W gazetach pisali, że zaprojektowany przez pracowników lubińskiego Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń Rud Miedzi kombajn szybowy KBSz-1 poprawił niewspółmierne warunki pracy

górników. Wreszcie nie trzeba było pikrować ściany ręcznie, o półtora razy wzrosła wydajność pracy, gdyż kombajnem głębiono miesięcznie 38-40 metrów szybu, podczas gdy ręcznie wykonywano ich 17-18 metrów. Spadła liczba pracowników, którzy wskutek wykonywania ciężkiej pracy fizycznej zapadali na choroby zawodowe, takie jak np. pylica czy choroba wibracyjna.

W 1976 roku twórcy kombajnu szybowego zostali nagrodzeni specjalnym wyróżnieniem przez wrocławską Gazetę Robotniczą. Dwa lata później zespół wykonawców w składzie: Ireneusz Bratek, Tadeusz Glazór, Henryk Hłond, Tadeusz Jastrzębski, Jerzy Lengas, Jerzy Lintner, Janusz Matuszyk, Piotr Nowakowski oraz Jan Pęciak otrzymał Nagrodę Państwową II stopnia w dziedzinie techniki, za opracowanie kombajnu do głębienia szybów w górotworze zamrożonym.

■ A może ciekły azot?

Praca w Dziale postępu technicznego oznaczała uczestnictwo w wielu nowatorskich pomysłach. Do ciekawszych zalicza próbę zamrażania górotworu ciekłym azotem.

– W Odolanowie (Wielkopolska) odwiercono jeszcze w latach sześćdziesiątych dość duże zasoby gazu ziemnego, z gazowni miejskiej w Lubinie, sprawiał kłopoty, był tłusty i szybko zasklepiał elementy junkersów – wspomina pan Janusz. – Ale gaz ziemny z Odolanowa został doprowadzony do Kotowic pod Wrocławiem. Przez pewien czas cze-

kaliśmy na rozstrzygnięcia, by kombinat wyłożył pieniądze i dociągnął go do Lubina. W tym gazie były też różne szlachetne domieszki, jak np. hel. Amatorów helu było sporo, szczególnie w Belgii.



Chile (1988 r.). Spotkanie z Piotrem Dziurą, szefem szwedzkiej firmy Atlas Copco. Od prawej: Piotr Dziura, Józef Milek, Janusz Matuszyk, Jerzy Chwalibóg i wiertacz (nazwisko nieznanne).

Oczywiście należało wszystkie domieszki gazu wymrozić i odprowadzić. W ten sposób odbierany był również ciekły azot, którym próbowaliśmy zamrażać górotwór. Po raz pierwszy, na zlecenie PBKR Częstochowa, zastosowaliśmy mrożenie azotem przy głębieniu szybu L-V kopalni Lubin, gdzie nie powiodło się konwencjonalne mrożenie przy użyciu solanki. Ponadto ciekły azot zastosowaliśmy przy połączeniu szybu R-VI ze zbiornikiem podsadzkowym. Oczywiście wprowadzenie metody mrożenia górotworu ciekłym azotem radykalnie poprawiło możliwości zamrażania skał, jednak argumenty ekonomiczne skorygowały nasze zamiary i ciekły azot pozostał w sferze marzeń.

■ Pytania jak z innej planety

Ktoregoś razu inż. Matuszyk został wysłany z kombinatu do Norwegii, a dokładniej do Trondheim. Podczas międzynarodowej konferencji przedstawiał w języku angielskim osiągnięcia w zakresie budowy kopalni. Wtedy udało mu się zainteresować Niemców metodami głębienia szybu.

– Po pewnym czasie dostałem telefon od dyrektora technicznego Andrzeja Ulbrycha. Mówił, że dzwonił do niego z Katowic z pytaniem, czy nie mamy jakiegoś inżyniera ze znajomością angielskiego, który chciałby w dżungli „zrobić” jakiś szyb. W tym czasie podlegaliśmy już pod KGHM, jednak jako firma byliśmy w kontraktach zagranicznych pomijani. Kiedy więc dyrektor zapytał, czy nie pojechalbym do dżungli, odpowiedziałem: „Nawet i pojechalbym”. On na to: „No to jedź do KOPEKSU, tam się wszystkiego dowiesz” – wspomina okoliczności pierwszego wyjazdu na kontrakt. – Wkrótce pojechałem na rozmowy biznesowe do Włoch. Pytania o budżet i koszt wykonania metra szybu były dla mnie, wychowanego w socjalistycznej gospodarce, jak z innej planety. Na szczęście uzyskałem porozumienie w kwestiach technologicznych z panem Paolo Morosi, głównym inżynierem górniczym firmy Astaldi Roma. W ciągu paru dni opracowałem cały zakres robót, listę koniecznego sprzętu i liczbę ludzi do wykonania zadania. Ostatecznie okazało się, że projekt znalazł akceptację i będziemy budować szybiki pilotażowe w elektrowni wodnej na rzece Comajagla w Hondurasie. Zlecenie nie było proste. Planowane szyby naporowe miały mieć 183 metry długości i około 40 stopni nachylenia. Musieliśmy nauczyć się nowej technologii wykonywania ponad 180-metrowych nadsiewłomów metodą Alimak Rice Climer, czyli od dołu do góry. Pojechałem z ludźmi do Boguszwowa, gdzie w kopalni barytu prowadzono pionowe roboty podobną do Alimak Rice Climer metodą. W czerwcu 1981 roku z ekipą sześciu górników wyjechałem do Hondurasu.

Początki były niezwykle ciężkie, żeby wdrożyć się w nową technologię, ekipa Matuszyka pracowała nawet po 14 godzin dziennie. Pracowali na doskonałym sprzęcie i wysokiej jakości norwe-

skich materiałach. Świetnie układała się współpraca z tamtejszymi fachowcami. Koniec końców zrealizowali nie tylko wstępne szybiki pilotażowe, ale również oba ostateczne szyby.



Karczma Piwna w Ibbenburen. Obowiązki Kontrapunktów sprawują (od prawej) Janusz Matuszyk i Tadeusz Figas.

– Ten kontrakt okazał się dla mnie przygodą życia – przyznaje. – Umożliwił nam również zwiedzanie fascynującej części świata, no i nauczyłem się języka hiszpańskiego. Pomocna w tej edukacji okazała się papuga, którą kupiłem chyba z samotności. W końcu przywiozłem ją Polski i nadal mieszka ze mną – wskazuje pan Matuszyk na kolorową i mocno rozkrzyżowaną Lorę.

Po powrocie z Hondurasu dyrektor Bronisław Garus zaproponował mu stanowisko szefa działu eksportu. Przez pewien czas nawet kierował działem, jednak KOPEX dokładał wszelkich starań, by skaperować Matuszyka do współpracy przy realizacji kolejnych zagranicznych projektów.

– Cały czas miałem telefony, by przyjść do KOPEKSU. W 1984 roku uległem tym naciskom i namówiłem dyrektora Garusa, żeby mnie wypuścił z firmy na rok. Miałem przydział na działkę budowlaną i chciałem stawiać dom, więc pieniądze były potrzebne – objaśnia pan Janusz. – Pierwsze robotę wykonaliśmy w Grecji, później ponad

miesiąc „zabawa” z Irańczykami, potem znowu Grecja i Wenezuela. Przy tej okazji objeżdżałem świat. W 1985 roku dostałem od dyrektora Garusa polecenie powrotu do firmy. Przywiozłem wtedy wcześniej zapowiadany kontrakt na wydobycie węgla kamiennego w kopalni Lencsehegyi Szen-

zbudowanej na rzece Maule. Pojechałem jako kierownik ze Ślązakami - operatorami wiertnic. Przepracowaliśmy tam równy rok. Okazało się, że warunki geologiczne są tak fatalne, że w skałach wulkanicznych straszliwie pyłących nie zdołamy naszym sprzętem skończyć tej roboty.

Chilijczycy, za podpowiedzią doradców norweskich, zrezygnowali z tego projektu. Wróciliśmy do kraju. Miałem do emerytury parę miesięcy.

■ Złapałem samograję

1 września 1990 roku Janusz Matuszyk przeszedł na emeryturę. Nie odpoczywał za wiele, gdyż założył jednoosobową firmę. Początkowo współpracował z przedstawicielem firmy Atlas Copco, a potem ze szwedzką firmą STABILIZATOR, która starała się wejść na polski rynek. I weszła, między innymi stabilizowali zamek w Malborku i uszczelniali we Wrocławiu kanalizację pod Mostem Mieszkańskim.

– W pewnym momencie zaczęły się do mnie zgłaszać firmy, które potrzebowały narzędzi z Zachodu. Mając obycie w świecie i znając języki, zacząłem importować narzędzia – wspomina z satysfakcją pan Janusz.

– Potem złapałem samograję, biznes dotyczył produkowanych przez Szwedów i Finów maszyn do wiercenia skał. My tych maszyn mamy w Polsce ze 100 sztuk, natomiast w Chile są ich tysiące. Chilijczykom opłacało się kupić licencje do produkcji części zamiennych do tych maszyn, produkowali je przy wsparciu Amerykanów i sprzedawali po bardzo konkurencyjnej cenie. Zacząłem te części do wiertnic szwedzkich i fińskich dostarczać tutaj na nasz teren. Przez parę lat szło mi to bardzo dobrze. Niestety w 2006 roku wykryto u mnie chorobę nowotworową. Kiedy usunięto mi prawe płuco, dotarło do mnie, że bycie najbogatszym na cmentarzu jest kiepskim interesem, toteż zacząłem swoją działalność likwidować.

Dzisiaj mam dom, dachę, łódkę. To co chciałem mieć w życiu, to osiągnąłem – podsumowuje. – Zjeżdżaliśmy z żoną świat, na samej Dominikanie byliśmy osiem razy. Szczególnie jednak ciągnęło mnie do Ameryki Łacińskiej, tam z moją znajomością języka hiszpańskiego, od Meksyku po Argentynę, zawsze czułem się jak w domu. ■



Brazylia (2001 r.). Państwo Matuszykowie na tle Iguazu – najbardziej widowiskowych wodospawów świata.

banya w miejscowości Dorog, 40 kilometrów od Budapesztu.

■ Musisz jechać do Chile

Wyróżnieniem i szczególnego rodzaju przeżyciem był dla pana Matuszyka udział w Kongresie Tunelowym w Madrycie. Reprezentował nie tylko nasze doświadczenia i dorobek w zakresie drążenia tuneli, ale pełnił też rolę tłumacza języka hiszpańskiego dla krajów demokracji ludowej.

– Dyrektor Stanisław Szczepaniak był ze mnie bardzo zadowolony i w nagrodę wysłał mnie do pracy w Niemczech, gdzie mieliśmy swoje budowy. Szukałem partnerów, którzy chcieliby z Polakami współpracować. Niestety tylko Holendrzy byli skłonni do współpracy i to w ograniczonym zakresie, gdyż potrzebowali jedynie naszych wykwalifikowanych spawaczy. Udało się więc zdobyć jedynie niewielki kontrakt – nawiązuje do rynkowych meandrów. – W 1988 roku dostaję telefon: „Chłopie, musisz jechać do Chile, bo podpisaliśmy kontrakt na zgłębienie szybu dla zrztu wody w hydroelektrowni Pehueuche,

Robiąc wykopy, natrafiliśmy na kabel biegnący w poprzek budowy. Długo nie mogliśmy ustalić, do kogo należy. Ponieważ nam przeszkadzał, poleciłem robotnikom, by go przecięli. Po chwili na budowę podjechały dwa samochody, z których wysiedli rosyjscy oficerowie. Okazało się, że... przerwaliśmy wojskowe połączenie telefoniczne Legnica-Moskwa.

*Stanisław Latkowski,
kierownik elektro-
ciepłowni. Pracował
w Hucie Miedzi
Legnica w latach
1970-2004*



Po turbinę do Japonii

Stanisław Latkowski przez całe życie zawodowe, to jest przez 40 lat, związany był z legnicką hutą. Zatrudniony przez wrocławski Elektromontaż, pracował przy budowie kilku ważnych dla niej obiektów. W 1970 roku został pracownikiem działu inwestycji w hucie. Kilkanaście lat później powierzono mu funkcję kierownika hutniczej elektrociepłowni. Zastąpił na tym stanowisku Leonarda Kijewskiego, który pracował tu przez ponad trzydzieści lat. Latkowski natomiast szefował elektrociepłowni aż do 2004 roku.

■ Spod Wilna do Legnicy

Urodził się pod koniec wojny w niewielkiej miejscowości niedaleko Wilna. Jego matka miała już w rękę pozwolenie na wyjazd do Polski, jednak bała się wyruszać w podróż bez męża. A kiedy ten wrócił z frontu, granica była już zamknięta. Druga możliwość wyjazdu do kraju nadarzyła się dopiero po politycznej odwilży, w 1956 roku.

– Osiedliliśmy się w Szczecinku. Po ukończeniu podstawówki zacząłem naukę w liceum ogólnokształcącym, lecz szkoła ta wyraźnie mi nie pasowała. Za namową kolegi wyjechałem do Legnicy, gdzie w 1960 roku przyjęto mnie do Technikum Elektroenergetycznego, które miało internat. Po maturze chciałem iść na studia, ale zanim się zdecydowałem, powołali mnie na trzy lata do marynarki wojennej – wspomina Stanisław Latkowski.

Gdy odsłużył już wojsko, w 1968 roku zatrudnił się we Elektromontażu i rozpoczął studia wieczorowe na Wydziale Elektrycznym Politechniki Wrocławskiej. Pracować i jednocześnie studiować nie było łatwo, całe szczęście, że w pierwszych miesiącach kierownictwo, zarówno Elektromontażu, jak i huty, do której się przeniósł w trakcie studiów, sprzyjało doksztalcaniu się pracowników.

– Dwa razy w tygodniu – mówi pan Stanisław – musiałem dojeżdżać do Wrocławia na laboratorium, bo w Legnicy uczelnia dopiero się organizo-



Drużyna piłkarska elektrociepłowni zdobyła pierwsze miejsce w rozgrywkach międzywydziałowych w piłkę nożną. Dostała pamiątkowy puchar, a od szefa (Stanisław Latkowski, drugi z prawej) butelkę szampana.

wał. Żeby zbytnio nas nie obciążać, przez kolejne dwa dni w tygodniu wykładowców politechniki przywożono mikrobusem do legnickiej siedziby tej uczelni. Hutnikom, których na studia kierowała komisja złożona z pracowników zakładu, bez problemów udzielano urlopów szkoleniowych.

■ **Siekierą w strategiczne łącza**

Po studiach został wykładowcą w Technikum Hutniczym, którego budowę nadzorował jako pracownik działu inwestycji Huty Miedzi Legnica.

– Miałem pieczę nad robotami elektrycznymi. Któregoś dnia robiąc wykopy, natknęliśmy się na kabel biegnący w poprzek budowy. Początkowo myśleliśmy, że został po Niemcach. Usiłowaliśmy znaleźć dokumentację tego terenu, lecz bezskutecznie. Rozpytywaliśmy pracowników poczty i energetyki, niczego jednak nie ustaliliśmy. To spowalniało nam roboty. W końcu poleciłem robotnikowi, by podłożył pod kabel drewniany klocek, założył gumowe rękawice, okulary ochronne i przewód po prostu przerzął siekierą. Zakładałem, że wówczas właściciel sam się zjawi. Nie

myliłem się. Chwilę potem zajęchały na budowę samochody, z których wysiedli rosyjscy oficerowie. Okazało się, że przerwaliśmy strategiczne, wojskowe połączenie telefoniczne Legnica-Moskwa. Zdenerwowani Rosjanie nie zrobili z tego międzynarodowej afery, ale obrzucili nas przekleśtnami i musieliśmy szybko łączność przywrócić. Pomogli nam w tym pracownicy Poczty Polskiej – wspomina z rozbawieniem Stanisław Latkowski.

■ **Z elektrociepłowni do szkoły**

Technikum Hutnicze zaczęto budować w 1975 roku, jak to pan Stanisław określa, z wielkim zadęciem. Szkoła miała być wyposażona w basen i salę gimnastyczną. Sala powstała dopiero niedawno, a o basenie wszyscy już zapomnieli. Kiedy obiekty przy ul. Złotoryjskiej oddano do użytku, przeniesiono tam Przyzakładową Zasadniczą Szkołę Hutniczą, która początkowo znajdowała się w budynku dzisiejszej NOT, potem w gmachu Technikum Elektroenergetycznego, gdzie czasowo lekcje miały także klasy Technikum Hutniczego.

A przy Złotoryjskiej wszystko pomieściło się w jednym obiekcie, naukę rozpoczęło w nim kilkaset osób.

Zasadnicza Szkoła Hutnicza kształciła w specjalizacjach: ślusarz, mechanik, elektryk, odlewnik. W technikum natomiast utworzono klasy o kierunkach technik-mechanik i technik-metalurg.

– W hucie do dzisiaj pracuje wielu absolwentów tej szkoły, moich byłych uczniów. Niektórzy z nich są już emerytami. Oprócz klas rannych, funkcjonowały też wieczorowe, w których kształcali się hutnicy, nierzadko starsi ode mnie, bo kiedy zostałem nauczycielem, nie miałem nawet 30 lat. Wykładałem: „maszyny i urządzenia elektryczne”, „podstawy elektrotechniki” i prowadziłem pracownię elektryczną. Byłem nauczycielem dochodzącym. Pracę dzieliłem między elektrociepłownię i szkołę. W dni, w które prowadziłem zajęcia, szefostwo pozwalało mi wcześniej wychodzić z zakładu. W Technikum Hutniczym uczyło wielu inżynierów z huty i Legmetu – wspomina Stanisław Latkowski

■ Lokomotywy „ciągnęły” hutę

Budowa hutniczych inwestycji trwała niekiedy wiele lat, znał je więc od podszewki, bo początkowo sam był ich wykonawcą. Potem jako pracownik działu inwestycji huty nadzorował ich realizację przez swoją dawną firmę Elektromontaż. Większość starszych obiektów zakładu, w tym całą elektrociepłownię, wzniesiono w oparciu o dokumentację radziecką, dlatego pracowali w niej również inżynierowie z ZSRR.

Stanisław Latkowski miał swój udział w budowie drugiej hali wanian elektrolizy, powstałej już w oparciu o polską myśl techniczną. Sporo zadań wykonywał też jako elektryk przy uruchamianiu linii brykietowania na wydziale przygotowania wsadu i przy głównej stacji transformatorowej. Potem pracował przy najważniejszej inwestycji – budowie wydziału ciągłego odlewania miedzi, który wyposażano w wiele urządzeń elektrycznych, w tym transformatory i piece topliwne.

– Z wczesnych lat pracy w Elektromontażu utkwiło mi w pamięci pewne kuriozum gospodarki socjalistycznej. Były to tak zwane planowane straty. Budując wydział elektrorafinacji, kupowaliśmy setki ton miedzianych szyn po cenie wyższej niż urządzeń, a w fakturze mogły wid-

nieć tylko te drugie. Dlatego zanim zaczęliśmy jakiegokolwiek roboty, mieliśmy już miliony strat – objaśnia paradoksy ówczesnej gospodarki.

Stanisław Latkowski pamięta też historię dwóch lokomotyw, o których opowiadali jego starsi koledzy. Dostarczały one energię ciepłą do procesu elektrorafinacji. Z czasem zastąpiła je elektrociepłownia, w której nadzorował między innymi montaż turbozespołu przeciwnieprężnego. Produkowała już nie tylko ciepło na potrzeby procesu technologicznego, ale także do ogrzewa-



Stanisław Latkowski podczas służbowej wizyty w Japonii. W tle budynek Rady Gospodarczej w Hiroszimie, zniszczony po wybuchu bomby atomowej w 1945 roku i pozostawiony w takim stanie ku przestrodze ludzkości.

nia pomieszczeń i podgrzewania wody użytkowej, w pełni zaspokajając potrzeby zakładu. Jeśli chodzi natomiast o energię elektryczną, elektrociepłownia wytwarzała tylko około połowy zapotrzebowania huty. Musiała więc dokupować prąd z sieci państwowej i tak jest do dzisiaj.

■ Jak w młynku do kawy

Po kilkunastu latach pracy w inwestycjach, w 1986 roku Stanisława Latkowskiego mianowano szefem elektrociepłowni. W tym okresie był świadkiem i uczestnikiem ogromnych zmian zachodzących w procesie produkcji energii cieplnej i elektrycznej.

– Początkowo pracowaliśmy na młynach bębnowo-kulowych, skonstruowanych na radzieckiej myśli technicznej. W środku obracającego się bębna poruszały się kule o średnicy pięciu centymetrów, krusząc węgiel na pył - wdmuchiwany do kotła wraz z powietrzem, palił się jak benzyna. Młyny często się psuły i, co gorsza, trudno było zdobyć do nich części zamienne. Poza tym podczas pracy powodowały niemiłosierny hałas, dochodzący do 110 decybeli, czyli niewiele mniejszy niż samoloty odrzutowe. Z tego powodu byliśmy ścigani przez ochronę środowiska i Państwową Inspekcję Pracy. Sytuacja zaczęła się poprawiać dopiero w latach 80., kiedy w hutę zainwestowano wielkie pieniądze. Wówczas wszystkie młyny wymieniliśmy na polskie, nowocześniejsze, mniej awaryjne i pracujące znacznie ciszej.

Emitowały już tylko 87 decybeli, czyli nieco powyżej dopuszczalnej normy. W ich wnętrzu, jak w wielkim młynku do kawy, poruszało się pięć znacznie większych niż dotychczas kul, szybciej krusząc węgiel, bo około osiem ton na godzinę – wyjaśnia Stanisław Latkowski.

Ponadto maszynownię, w której spory hałas (ok. 115 decybeli) powodowała praca turbiny, wyposażono w dźwiękoszczelne kabiny i monitory - na nich już w bardziej komfortowych warunkach obsługa mogła obserwować parametry produkcji.

W elektrociepłowni wprowadzono też sporo drobniejszych udogodnień, między innymi wymieniono starą nitowaną suwnicę, służącą do rozładowywania sporych ilości węgla, na znacznie bardziej stabilną.

Inżynierowie Biprometu zaprojektowali na początku lat 80. kocioł do spalania ogromnych ilości gazu gardzielowego, powstającego w procesie wytopu miedzi w piecach szybowych.

Ten wysoki na 35 metrów kocioł budowano dwa lata i oddano do użytku w 1986 roku.

Opalany gazem gardzielowym, z domieszką gazu ziemnego, mógł spalać go dwukrotnie więcej niż stare urządzenia, pracujące na pył węglowy.

Do czasu wybudowania czwartego kotła w elektrociepłowni spalano zaledwie 30-40 procent ga-

zów gardzielowych, potem zagospodarowano 100 procent jego składników palnych. Spaliny szły na multicyklony, czyli odpylacze mechaniczne, a pozostałości, niestety, w powietrze. Z czasem zainstalowano w elektrociepłowni sprawne elektrofiltry produkcji duńskiej, które aż w 99 procentach elektrostatycznie oczyszczały spaliny. Te wciąż zawierały jednak związki siarki. W pełni wykorzystano je w procesie produkcji kwasu siarkowego dopiero po wybudowaniu instalacji Solinox.

■ Pamiętają o Piłsudskim

Po rozbudowaniu elektrociepłowni okresowo powstawał nadmiar pary. Początkowo nie było wiadomo, co z nim robić, wypuszczano więc parę w powietrze. Aby ją zagospodarować, pracownicy elektrociepłowni zaczęli domagać się zamontowania nowego turbozespołu.

Dyrekcja huty przychyliła się do propozycji wymiany wysłużonych radzieckich urządzeń i ogłosiła przetarg na projekt i montaż turbozespołu. Do firmy napłynęło mnóstwo ofert, m.in. z Czech, Finlandii, Japonii, Francji, Rosji. Pracownicy elektrociepłowni patrzyli przede wszystkim na stronę techniczną urządzenia, ekonomiści huty na ich cenę, dlatego nie było między nimi zgody.

Stanisław Latkowski i jego zastępca opowiadali się za firmą europejską, żeby w razie jakichś problemów technicznych, mieć łatwy kontakt z producentem. Ostatecznie po roku negocjacji wybrano firmę japońską.

– Zakup turbiny od Japończyków był największą inwestycją w okresie mojego szefowania elektrociepłowni. Kosztowała 7,2 mln dolarów. Dla producenta był to łakomy kąsek, dlatego przepychanki pomiędzy oferentami trwały dość długo. W kontrakcie z japońską firmą zapisano, że odbiór turbiny odbędzie się u producenta, by inwestor widział, jak urządzenie jest produkowane – mówi Stanisław Latkowski.

I tak w 1999 roku wraz ze swoim zastępcą Marianem Rosołem i ówczesnym dyrektorem technicznym Włodzimierzem Babikiem znaleźli się w Japonii. Żeby obejrzeć turbinę i generator, mieli do pokonania sporo kilometrów, bo części powstawały w dwóch różnych miejscowościach.

– Odległości tych wcale nie odczuliśmy, przemierzaliśmy się bowiem tak szybkim pociągiem, że z trudem zdążyłem z jego okna sfotografować wulkan Fudzi – wspomina Stanisław Latkowski.

Pracownicy huty obchodzący jubileusz pracy na uroczystym spotkaniu z dyrektorem zakładu Markiem Szerbiakiem. Stanisław Latkowski czwarty z prawej.



Po dopięciu transakcji hutnicy zwiedzili najciekawsze miejsca kraju. Wtedy też dowiedzieli się, że japońskie dzieci uczą się z podręczników szkolnych o Polaku Bronisławie Piłsudskim. Był on bratem Józefa Piłsudskiego, etnografem karnie zesłanym na Sachalin za przygotowywanie zamachu na cara. Potem prowadził badania na wyspie Hokkaido, wykazując, że pierwotnymi jej mieszkańcami i innych pobliskich wysp nie byli Japończycy, lecz lud zwany Ajnami, opisany przez niego z etnograficzną pasją. Wpłynął on tym samym na zmianę historii Japonii.

– Sądziliśmy, że na tej transakcji nasze kontakty z Japończykami się skończą. Tymczasem stało się to, czego ja i mój zastępca się obawialiśmy. Po roku okazało się, że uzwojenie generatora ma przebicie. Zrobiliśmy dokładne pomiary i je udokumentowaliśmy, spodziewając się problemów z reklamacją. Krótco potem przyjechało do Legnicy czterech pracowników japońskiego kontrahenta, by przestudować nasze spostrzeżenia. Po jakimś czasie poprosili o spotkanie z pracownikami elektrowni, na którym przyznali się do winy i przeprosili załogę w imieniu swojej firmy. Reklamacja, choć uznana, była kłopotliwa, bo urządzenie ważące siedem ton musiało popłynąć do Japonii. Sześć miesięcy czekaliśmy na nowy generator, w tym czasie produkcja była mniejsza, ale straty niezbyt duże, dlatego dyrekcja huty nie chciała się sądzić z japońską firmą. Nowy generator sprawnie pracuje do dzisiaj – opowiada Stanisław Latkowski.

■ Na emeryturze idealnie

Był drugim i zarazem ostatnim kierownikiem hutniczej elektrowni, bo tuż po jego przejściu na emeryturę, w 2004 roku, włączono ją wraz z elektrownią Huty Miedzi Głogów do spółki Energetyka.

– Cały czasem funkcjonowałem trochę z boku huty, mając co robić od rana do nocy, bo kiedy kończyłem pracę w elektrowni, zaczynałem wykłady w szkole. Pracowałem niejako pełną parą. Na zajmowanie się polityką tak dalece nie miałem czasu, że dopiero po 1989 roku dowiedziałem się, kim był tajemniczy człowiek, przez wiele lat spotykany przeze mnie na korytarzu. Zajmował on mały pokój, który jako jedyny nie miał na drzwiach tabliczki z informacją, kto w nim pracuje. Nie zwracałem na niego uwagi, lecz on zwracał uwagę na wszystko, bo jak się okazało, był człowiekiem służby bezpieczeństwa – śmieje się pan Stanisław

Jakiś czas po przejściu na emeryturę nie mógł bez pracy wytrzymać, ale po kilku miesiącach poradził sobie z zagospodarowaniem wolnego czasu.

– Przez pierwszy rok mojego odpoczynku przeczytałem więcej książek niż przez kilkanaście lat, gdy byłem czynny zawodowo. Wreszcie mogę się ukulturalniać dowoli. Ostatnio będąc we wrocławskim Teatrze Muzycznym Kapitol, zobaczyłem jak pięknie wygląda budowla, do wykończenia której użyto naszej miedzi. ■

Pracę zacząłem od usuwania awarii na wydziale ciągłego odlewu. Doszło wtedy do wycieku miedzi z pieca topielnego, gorący metal popłynął przez zlewki i walce w dół. Wszystko dookoła zaczęło się palić. Wyglądało to dramatycznie.

*Stanisław Gorący,
główny automatyk.
Pracował w Hucie
Miedzi Legnica
w latach 1971-2011*



Przywykłem do ciągłej nerwówki

Skromne warunki materialne w domu rodzinnym sprawiły, że Stanisław Gorący dość szybko musiał wydorosnąć i myśleć o zarabianiu pieniędzy. Znalazł jednak sposób na to, by poprawić sobie byt, nie przerywając nauki. Któregoś dnia na tablicy ogłoszeń wiszącej w korytarzu Politechniki Wrocławskiej przeczytał informację, że Huta Miedzi Legnica funduje stypendia studentom, którzy po obronie dyplomu chcieliby w niej pracować. Pan Stanisław wysłał do zakładu list, w odpowiedzi dyrekcja zaprosiła go na rozmowę. Podpisał wówczas umowę z hutą i od tego czasu każdego miesiąca wpadało mu jakieś 600 zł. Stypendium, które dostawali jego koledzy z politechniki było blisko o połowę niższe.

– Wreszcie mogłem się porządnie ubrać, co dla młodego chłopaka nie było bez znaczenia – nawiązuje do czasów studenckich Stanisław Gorący.

■ Najlepsze flaki w mieście

Po skończeniu w 1971 roku Wydziału Elektrycz-

nego Politechniki Wrocławskiej, zgodnie z umową, podjął pracę w legnickiej hucie. Pierwszego dnia przywitała go w firmie szefowa kadr i świeżo upieczonego inżyniera zaprowadziła do głównego energetyka Bronisława Kraśnickiego. Ten na początek położył stażyscie na biurko stos dokumentacji do przeglądania. Potem inżynier Bolesław Gąsiorek oprowadził nowego pracownika po hucie, zapoznał z produkcją na wydziałach, pokazał obiekty zakładu i przedstawił kilku innych stażystów. Wówczas to pan Stanisław poznał inżyniera Lecha Sieczko, z którym zamieszkał w jednym pokoju hotelu pracowniczego i przez wiele lat współpracował. Obaj panowie przyjaźnią się do dzisiaj.

– W pamięć zapadła mi pewna nieco zabawna cecha Leszka – był niesłychanie wybredny, jeśli chodzi o jedzenie. Mnie wystarczyło świeże, on musiał mieć superświeże. Kiedy otworzył puszkę z popularną wówczas prochowicką szynką z drobiu i nie zjadł wszystkiego, stawiał konserwę półkę niżej we wspólnej szafie. To był dla mnie sygnał, że

mogę ją skończyć. Dwa razy nie musiał mi powtarzać – śmieje się pan Stanisław.

– Śniadania i kolacje przygotowywaliśmy sobie sami, bo na codzienne żywienie się w restauracjach nie pozwalały zarobki młodych pracowników, poza tym nie było to w powszechnym zwyczaju. Życie ułatwiała nam hutnicza stołówka, w której można było dobrze zjeść – rano posiłek regeneracyjny, po południu obiad. Nigdzie w Legnicy nie serwowano wówczas tak smacznych flaków – przekonuje pan Stanisław.

■ W hotelu przy Poselskiej

Dom przy ulicy Poselskiej, który prowadziła pani Jadwiga Michoń, nie był typowym hotelem robotniczym. Urządzono go, jak na tamte czasy, dość przytulnie, wyposażono w wygodne łóżka

ul. Lotniczej. Stały tam trzy bloki należące do huty, dlatego wszyscy czuli się jak na rodzinnym osiedlu.

Po tym, jak na świat przyszedł ich syn, w jednopokojowym „M” zrobiło się ciasno. Na nowe mieszkanie, podobnie jak na pierwsze, nie czekali jednak długo, co było niemalą zaletą pracy w hucie.

– W 1978 roku przeniesiono niektórych pracowników do spółdzielczych bloków. Tym razem dostaliśmy z żoną duży, trzypokojowy lokal z zasobów Legnickiej Spółdzielni Mieszkaniowej, która zazwyczaj miała wydzieloną pulę mieszkań dla hutników – opowiada Stanisław Gorący.

■ Grafik na życie

Gdy zaczął pracę w hucie, budowa wydziału ciągłego odlewania miedzi była na ukończeniu. Wówczas trzem zaprzyjaźnionym nowym pracow-



Grupa pracowników po odbiorze zmodernizowanej odpylni gazów szkodliwych. Druga połowa lat 80. Stanisław Gorący dziesiąty z lewej.

i zapewniono niezłe warunki sanitarne. W pokojach, zwykle dwu- lub trzyosobowych mieszkało około 30 pracowników Legmetu, huty i specjaliści takich firm, jak Energomontaż czy Elektromontaż, wykonujący prace na rzecz zakładu, który stale się rozwijał.

Krótko po podjęciu pracy pan Stanisław ożenił się i małżonkę ściągnął do Legnicy. Na pół roku zamieszkali razem w hotelu przy Poselskiej. W tym czasie zaczął starać się w firmie o mieszkanie zakładowe. Na początek przydzielono im zastępcze przy

nikom – Stanisławowi Gorącemu, Lechowi Sieczce i Edwardowi Wojcieszczukowi ówczesny główny energetyk zaproponował stanowiska mistrzów zmianowych.

– Pracowaliśmy w systemie czterobrygadowym. Była to okropna kołomyja życiowa, bo cykl pracy nijak się miał do kalendarza. Nierzadko myliły się mi dni, nie wiedziałem, czy mamy poniedziałek, czy wtorek i czy jest to dzień powszedni, czy świąteczny. Pod grafik ustawiona była nie tylko praca, lecz życie nasze i naszych rodzin.

Warunki w hucie były trudne, ciągi technologiczne skomplikowane, jak choćby system wentylatorów, rur czy chłodnic. Urządzenia się psuły, zwłaszcza że zakład bazował głównie na niedoskonaliej technologii radzieckiej. Pracę rozpocząłem

– Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, o co dokładnie chodziło. Pomyślałem tylko, że musiałem kiedyś coś „chlapnąć” i ktoś „życziwy” donieść gdzie trzeba. Dyrekcja zignorowała jednak zastrzeżenia partyjniaka. Wzięła pod uwagę



Stanisław Gorący (pierwszy z prawej) na wykładach podyplomowych studiów w Akademii Ekonomicznej.

od usuwania awarii na wydziale ciągłego odlewu. Doszło wtedy do wycieku miedzi z pieca topielnego, gorący metal popłynął przez zlewki i walce w dół. Wszystko dookoła zaczęło się palić. Wyglądało to dramatycznie. Na mnie, młodym pracownikowi, awaria zrobiła ogromne wrażenie. Z czasem jednak, po uporaniu się z wieloma usterkami, do których dochodziło zwłaszcza na tak zwanych wydziałach gorących, przyzwyczaiłem się do tej nerwowki. Na ciągłym odlewie miedzi zrobiło się spokojniej, gdy wymieniono radziecki system technologiczny na zakupiony w Austrii system Wagnera – tłumaczy pan Stanisław.

■ Awans ponad polityką

Po dwóch latach zaproponowano mi zajęcie przy automatyzacji zakładu, a po jakimś czasie stanowisko głównego automatyka. Awans był po części wynikiem rozwoju huty, po części zaś efektem ciągłego kształcenia się, ale przy tej okazji nie obyło się bez pewnych zgrzytów. Na spotkaniu rekomendującym Stanisława Gorącego na to stanowisko jeden z pracowników, członek PZPR, podważał jego kwalifikacje, twierdząc, że tendencyjnie „naświatlał” on posunięcia ówczesnego rządu.

wyłącznie moje doświadczenie zawodowe i kompetencje, zwłaszcza że w tym czasie miałem już za sobą podyplomowe studia na wrocławskiej Akademii Ekonomicznej i skończyłem automatyzację na AGH w Krakowie. A muszę przyznać, że doksztalcenie się było zawsze mile widziane przez szefów, bo w zakładzie potrzebni byli kreatywni inżynierowie. I to oni właśnie, gdy dochodziło do kolizji celów partyjnych z racjonalnym zarządzaniem zakładem, nie bali się, mówili otwarcie, potrafili się postawić – przekonuje.

– Niekiedy trudno mi było powstrzymać się od krytykowania jedynie słusznego ustroju, bo nawyk ten został mi jeszcze z okresu nauki, gdy w 1968 roku zostałem, wraz z innymi słuchaczami, skreślony z listy studentów. Była to kara za to, że w pochodzie pierwszomajowym krzyczeliśmy, by uwolniono naszych aresztowanych kolegów.

Z czasu mojej w pracy w hucie nie pamiętam, by pracowników zmuszano do udziału w tej manifestacji. Nie słyszałem też, by spotkały kogoś represje za nieobecność na pochodzie pierwszomajowym. Ale byli też i tacy, którzy chętnie w nim uczestniczyli, bo reprezentowali ważny dla Legnicy zakład, wyróżniali się w tłumie strojem i byli z daleka widoczni, niosąc ogromne ba-

lony wypełnione wodorem – opisuje Stanisław Gorący.

■ Światłowód wyparł setki kabli

W hucie trwały pilnie prace nad unowocześnieniem metody odpylania gazów konwertorowych. Z czasem ruszyła budowa dużej dyspozytorni konwertorów i oczyszczalnia gazów. To wtedy właśnie panu Stanisławowi, po zakończeniu prac rozruchowych, zaproponowało kierowanie zespołem automatyków.

zastąpiło je kilka komputerów, a w miejsce setek kabli wprowadzono jeden światłowód – objaśnia pan Stanisław.

– Kiedy zaczęliśmy modernizację, pracowało w firmie wielu automatyków i elektryków. Dzisiaj siedzi przy komputerze jeden sternik, mając do pomocy może dwóch automatyków obserwujących produkcję. I ta nieliczna ekipa wystarcza do obsługi procesów produkcyjnych – zapewnia pan Stanisław. – Po modernizacji praca była znacznie łatwiejsza, dużo lepsza, lecz jednocześnie te zmia-



Zespół automatyków na spotkaniu z okazji Dnia Hutnika na polanie Lasku Złotoryjskiego. Stanisław Gorący w środku dolnego rzędu. Połowa lat 90.

– Początkowo automatyczne sterowanie urządzeniami w hucie bazowało na systemach pneumatycznych, pracujących na sprężonym powietrzu. Z czasem zaczęliśmy sterować nimi elektrycznie, a potem przyszła kolej na elektronikę i związaną z tym komputeryzację. Kiedy skończyliśmy wdrażanie systemu komputerowego w Fabryce Kwasu Siarkowego i na Solinoksie, było czym się pochwalić przed ówczesnym ministrem ochrony środowiska Stanisławem Żelichowskim, któremu osobiście prezentowałem działanie tego systemu. Dzisiaj uśmiecham się, gdy przypominam sobie, jak wiele pomieszczeń zajmowały szafy czy przetworniki związane z systemem pneumatycznym. Teraz

ny pociągnęły za sobą stopniowe zmniejszanie się zatrudnienia. I za ten postęp paradoksalnie największą zapłatę inżynierowie, którzy go wprowadzali, bo to głównie ich zastąpiły komputery. Dlatego niekiedy trudniej im było utrzymać się w pracy niż robotnikom – wyznaje.

■ „Armagedon” automatyków

Modernizacja huty nie wyeliminowała całkowicie awarii. Do kolejnej, pamiętnej dla automatyków i chyba najczęściej opisywanej w prasie, doszło w 2004 roku.

Podczas prac spawalniczych, wskutek nieuwagi pracownika firmy wykonującej usługi dla huty, do



Hutnicy po wygranym meczu piłki nożnej z pracownikami Urzędu Miasta w Legnicy. Przypuszczalnie 2000 rok. Stanisław Gorący czwarty z lewej w środkowym rzędzie.

jednej z kolumn Solinoksu wpadł kawałek gorącego, stopionego metalu. Wykonana z żywicy kolumna błyskawicznie się zajęła i ogień strawił jej część. W efekcie dość długo nie mogły pracować piece szybowe.

– Wszystko wysiadło. Musieliśmy wymienić wówczas wiele urządzeń, rozsypać popalone kable łączące systemy komputerowe. Zaraz po awarii czuliśmy się bezsilni, dopiero po kilku godzinach udało się nam uspokoić system i zabezpieczyć tak, by nikomu nic złego się nie stało. Potem wszystko mozolnie odtwarzaliśmy. Automatycy mieli wówczas swój „armagedon”. Straty były spore, a ich przyczyną nieuwaga i pośpiech. Nigdy nie lubiłem, gdy pracownicy obcych firm zaczynali w hucie pracę w niedzielę, kiedy było w niej mniej naszych ludzi – jak się potem okazało, nie bez racji. Jeszcze teraz, gdy to po latach opowiadam, zaczynam się denerwować – przyznaje się Stanisław Gorący.

■ Na etacie dziadka

Na pracę w hucie nie składały się jednak wyłącznie trudne, stresujące zadania. Pan Stanisław z przyjemnością wspomina wspólne pracownicze imprezy. Zakład stwarzał ku temu niejedną okazję.

Pracownicy integrowali się podczas zakładowych pikników, organizowanych na polanie Łasku Złotoryjskiego, zwłaszcza w maju, kiedy obchodzili Dzień Hutnika. Nie brakowało wówczas dobrego piwa, czegoś konkretnego do zjedzenia i chętnych do gry w piłkę nożną.

– To procentowało potem zwycięskimi meczami z pracownikami innych zakładów i instytucji, jak choćby z Urzędem Miejskim – zapewnia pan Stanisław.

Droga zawodowa Stanisława Gorącego, jak sam mówi, była prosta: stypendium fundowane, potem

praca na wydziale ciągłego odlewu miedzi, następnie w dziale automatyków – z tego zespołu, w 2011 roku, przeszedł na emeryturę.

Teraz dobrowolnie zatrudnił się na etacie dziadka do bawienia wnuczek. Zajęcie to, jak zapewnia,



Stanisław Gorący (drugi z lewej) bawi się na Karczmie Pivnej.

sprawa mu ogromną przyjemność. Poza tym, podobnie jak niejeden jego kolega po latach pracy w przemyśle ciężkim, zatęsknił za bliskością przyrody i z upodobaniem zajął się upiększaniem przydomowego ogrodu. ■

Gdy rano przychodziliśmy do pracy, zastawaliśmy 30-40 metrów rurociągu (o obwodzie 2,40 m) całkowicie ogołoconego z blachy. Za każdym razem zgłaszałem kradzież na Komisariacie Milicji w Polkowicach. Wkrótce mundurowi przywykli do moich wizyt i zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, witali mnie słowami: „Znowu...?”.

Janusz Szymczyk, sztygar grupy instalatorów, kierownik budowy w ZBGH. W zakładach KGHM pracował w latach 1972-2003



To była światowa sensacja

Mój ojciec, Stefan Szymczyk, żołnierz Batalionów Chłopskich i uczestnik Powstania Warszawskiego, po zdemobilizowaniu przyjechał na Dolny Śląsk. Jako działacz ludowy zgłosił się do przedstawicielstwa władz polskich, które miało siedzibę w Trzebnicy. Od pierwszego dolnośląskiego wojewody Stanisława Piaskowskiego otrzymał pełnomocnictwo do organizowania administracji terenowej na Ziemiach Zachodnich, a konkretnie w Ścinawie, gdzie był pierwszym wójtem.

Do Ścinawy ojciec wyruszył na piechotę w siedmioosobowej grupie takich jak on pełnomocników. Jak opowiadał, nie była to bezpieczna wyprawa, jeszcze nie uciły odgłosy wojny, Wrocław się dopalał, a w lasach ukrywali się uzbrojeni hitlerowcy. Jednak szczęśliwie dotarł do celu.

W Ścinawie nadal mieszkali Niemcy; pamiętam, że jako kilkulatek bawiłem się wspólnie z niemieckimi rówieśnikami. Rodzice dostali mieszkanie w rynku, obok Państwowego Urzędu

Repatriacyjnego. Nie wiem, co kierowało ojcem, ale po referendum „trzy razy tak” i po sfałszowanych wyborach do sejmu w 1947 roku, osiadł na gospodarstwie w Dębcu, cztery kilometry od Ścinawy i mieszkał tam aż do śmierci.

■ Gaz dla Lubina

Uczyłem się najpierw w Ścinawie, potem robiłem tzw. małą maturę (po dwóch latach nauki w Liceum Ogólnokształcącym) w Wołowie, ale zawód zdobyłem dopiero po ukończeniu Technikum Gazowniczego we Wrocławiu. Zawsze interesowały mnie instalacje przemysłowe i z nimi związany jest mój cały zawodowy życiorys.

Zanim w 1972 roku trafiłem na Miedź, pracowałem w gazownictwie i w gospodarce komunalnej. Po średniej szkole, w 1958 roku, dostałem nakaz pracy w referacie gazownictwa Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej we Wrocławiu. I od razu wskoczyłem na głęboką wodę; ledwo się

zatrudniłem, mój szef uległ wypadkowi i ja chcąc nie chcąc, musiałem przejąć jego obowiązki, tzn. nadzór nad wszystkimi gazownikami i rozdzielnicami gazu na terenie województwa. Obawiałem się, czy podołam, bo moje doświadczenie zdobyte podczas szkolnych praktyk było bardzo skromne. Ale nie miałem wyjścia - w przyspieszonym tempie uczyłem się nowych dla mnie zadań.

Rok później znalazłem się w komisji oceniającej założenia projektowe remontu i rozbudowy lokalnej gazowni w Lubinie. W tamtym czasie miasto przypominało większą wioską, gdzie po rynku spacerowały kury. Bywałem tam kilkakrot-

kończenia robót, w latach 1962-63, okazała się zbyt mała na potrzeby miasta.

■ Z dyrektora na majstra

Po roku pracy we Wrocławiu przeniesiono mnie do Legnicy na stanowisko głównego mechanika w Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej. Byłem zadowolony z tej zmiany, ponieważ nie musiałem już tak daleko dojeżdżać, gdyż cały czas mieszkalem w Dębcu, u rodziców. Do Ścinawy, na dworzec PKP, jechałem rowerem a dalej pociągiem, co - jak się okazało - miało swoją dobrą stronę, bo w pociągu poznałem przyszłą żonę,

Grażynę. Jako farmaceutka pracowała w kolejowej składnicy farmaceutycznej we Wrocławiu, a później aż do emerytury w aptece kolejowej w Ścinawie. Po ślubie, w 1960 roku, przeprowadziłem się do Ścinawy - mieszkaliśmy wspólnie z rodzicami żony.

Z Legnicy awansowałem do Wołowa, gdzie przez dziewięć lat byłem dyrektorem MPGK, a następnie przez osiem miesięcy szefowałem komunalce w Ścinawie. Po kilkunastu latach w tej branży byłem już dość znudzony pracą, którą znałem na wylot. Chciałem się rozwijać, spróbować czegoś nowego, poznać nowe technologie, jak również poprawić swoją sytuację materialną. Rozglądając się za nowym miejscem pracy, w grudniu 1972 roku, trafiłem do „meda-

lików”, dokładnie do Przedsiębiorstwa Budowlano-Montażowego Przemysłu Ciężkiego (pięć lat później zmieniło nazwę na Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Hutnictwa). Podlegaliśmy Zjednoczeniu Budownictwa Przemysłowego i Kopalnictwa Rud w Częstochowie - stąd te „medaliki”. W tym czasie lubińska siedziba firmy znajdowała się na terenie kombinatu, przy ulicy Skłodowskiej-Curie.



W ścinawskim przedszkolu z okazji Dnia Górnika. 1990 rok.

nie wcześniej z ojcem, gdy w czasie wakacji pomagalem w gospodarstwie. Furmanką woziliśmy len do składnicy, która znajdowała się za dworcem kolejowym.

Wtedy, w 1959 roku, jeszcze nikt nie przypuszczał, że ta niewielka miejscina tak szybko zacznie się rozwijać. Dlatego w założeniach inwestycyjnych przyjęto, że gazownia będzie obsługiwała 25 tys. mieszkańców. Tymczasem już z chwilą za-

Przedtem, pracując w gospodarce komunalnej, cały czas pięłam się w górę, aż do szczybla dyrektorskiego. W PBMH musiałem zadowolić się stanowiskiem majstra-sztygara grupy robót instalacyjnych. Jednak nie była to dla mnie degradacja, lecz swego rodzaju awans, gdyż skorzystałem finansowo, a także mogłem się rozwijać pod względem zawodowym.

■ Kanadyjscy pochwalili

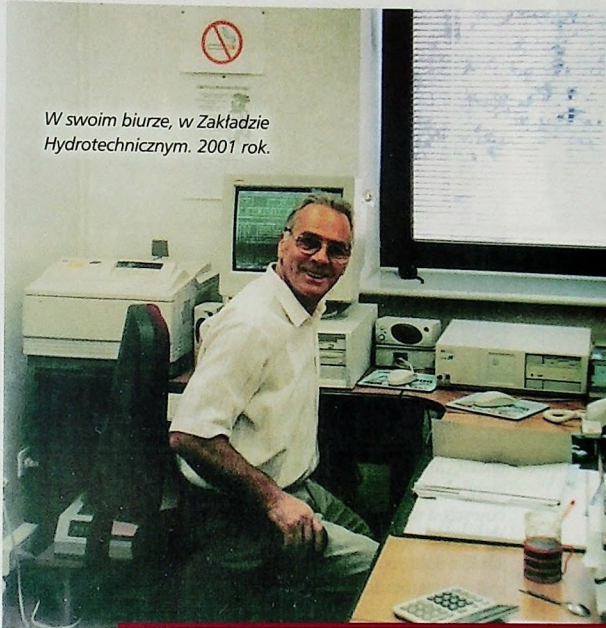
Przemysłowe instalacje zawsze mnie pasjonowały, przekonałem się, że te górnicze nie różniły się zasadniczo od tych, którymi zajmowałem się przedtem. Jedne i drugie musiały spełniać te same wymagania, jeśli chodzi o parametry (np. szczelności) czy zasady ich budowy i montażu. Natomiast nowością były rozmach i skala robót w górnictwie - naprawdę mieliśmy poczucie, że uczestniczymy w czymś niezwykle ważnym. Choćby dlatego, że do górnictwa miedziowego szybko docierały najnowocześniejsze rozwiązania techniczne, ale także rodziły się tutaj, na miejscu.

Ogromne wrażenie zrobiła na mnie nowatorska metoda zabudowy nadszybi w kopalniach LGOM, której autorem był Waław Mint, główny konstruktor i szef ds. produkcji w naszym przedsiębiorstwie. Stąd też nazwa tej metody od jego nazwiska - „Mintapol”. W 1964 roku brał udział w remoncie słynnej wrocławskiej Iglicy; ta niezwykła w sensie technicznym operacja polegała na położeniu w całości na ziemi 96-metrowej stalowej konstrukcji, a po konserwacji podniesieniu do pionu. Waław Mintę podziwialiśmy za niesamowitą wyobraźnię techniczną, miał mnóstwo pomysłów, które szybko przerodziły się we wnioski racjonalizatorskie i projekty wynalazcze.

Był tak znaną postacią, że budynek, w którym znajdowało się jego biuro, nazywano „mintówką”. Lubił się też udzielać towarzysko; zdarzało się, że przy różnych okazjach niejedną butelkę razem opróżniliśmy. Opowiadał, że już wcześniej, w latach 50. pracując na Śląsku, zajmował się podnoszeniem i przesuwaniem konstrukcji.

Zabudowa nadszybi w kopalniach LGOM polegała - ujmując to w skrócie - na tym, że właściwą wieżę budowano równolegle z głębieniem szybu, kilkadziesiąt metrów od jego zrębu. Potem, przy pomocy hydraulicznych byggingów (szwedzkich podnośników firmy Bygging), konstrukcja była podnoszona a następnie przesuwana po szynach na docelowe miejsce. Tą metodą wybudowano wiele szybów i nadszybi w ZG Lubin, w ZG Polkowice, w ZG Rudna, wszystkie w ZG Sieroszowicach, znacznie skracając cykl budowy tych kopalni.

*W swoim biurze, w Zakładzie
Hydrotechnicznym. 2001 rok.*



Rozwiązanie to okazało się sensacją na skalę światową. W pamiątkowym wydawnictwie z 1979 roku na 10-lecie firmy (brałem udział w jego przygotowaniu) zamieściliśmy fragment bardzo pochlebnego artykułu z fachowej prasy kanadyjskiej: „...wydarzeniem bez precedensu w dotychczas stosowanej technice było wybudowanie stałej wieży szybowej o wadze 300 ton w odległości 200 stóp od zrębu szybu, a następnie przesunięcie jej po szynach i zainstalowanie na właściwym miejscu. Podobnie postąpiono w przypadku nadszybia, którego konstrukcję o wadze 2000 ton przenie-



Biesiada piwna pracowników Zakładu Hydrotechnicznego. Janusz Szymczyk (w środku) z gośćmi; po lewej Piotr Palisziewicz, kierownik z Pol-Miedź-Trans, po prawej Mirosław Mączyński, inspektor ZG Rudna.

siono i zamontowano nad głowicą szybu już po zgłębieniu. Zasluguje na uwagę fakt, że metoda ta pozwala na zaoszczędzenie z lat budowy”.

Jak pamiętam, dopiero po tej publikacji metoda Minty zyskała uznanie w kraju i zaczęto ją szerzej stosować, również poza górnictwem. To rzeczywiście było osiągnięcie bez precedensu i powód do dumy, dla mnie również, bo miałem w nim swój udział. Moja grupa wykonywała wszelkie prace instalacyjne związane z przesuwaniem wież szybowych, a następnie wyposażała je w sieć rurociągów, m.in. wodnych, którymi wypompowywano wodę z dołu, a także wentylacyjnych, dostarczających powietrze do wyrobisk itp.

■ Węgrzy liczyli na złoto

Poza tym bardzo dużo prac wykonywaliśmy na przeróbce, modernizując np. flotację na Lubinie Głównym, z kolei na Wschodnim wymienialiśmy instalacje ciepłownicze, wodne i kanalizacyjne. Pracowaliśmy nie tylko na rzecz samego górnictwa. Pamiętam, że jednocześnie w tym samym czasie nadzorowałem roboty instalacyjne (łącznie z uzdatnialnią wody i hydrofornią) w budowanym przy pomocy Bułgarów Kombinate Warzywno-Owocowym w Małomicach. Budowano go oczywiście z myślą o zaopatrzeniu górnictwa w zaopatrzeniu górnictwa w zaopatrzeniu górnictwa.

Do nietypowych zadań, w których brałem udział, mogę zaliczyć prace przygotowawcze do próbnej eksploatacji, wspólnie z Węgrami, stawu osadowego Gilów. Robiliśmy instalacje odprowadzające i doprowadzające. Jednak szybko zarzucono ten projekt, bo okazało się że ponoszone koszty znacznie przewyższają wartość odzyskiwanego złota i srebra.

Pod koniec lat 70. przez dwie kadencje pełniłem funkcję I sekretarza Komitetu Zakładowego w PBMPK, jednak, gdy spoglądam wstecz, dochodzę do wniosku, że nie muszę się tego wstydzić. Nie zajmowaliśmy się polityką, tylko produkcją i sprawami wewnątrzzakładowymi.

■ To była plaga

W 1981 roku postanowiłem zdobyć zatwierdzenia Urzędu Górniczego do prowadzenia robót na obiektach górniczych. Mając te uprawnienia, awansowałem na stanowisko kierownika budowy robót instalacyjnych, co wiązało się z większą odpowiedzialnością, ale i z lepszymi zarobkami.

Jako kierownik nadzorowałem m.in. wymianę i budowę rurociągów na flotacji w ZG Polkowice, także montaż (na powierzchni) rurociągu ciepłowniczego z elektrociepłowni „Polkowice” przez „Rudną” do „Sieroszowic” na SW-1. Szczególnie zapamiętałem to drugie zlecenie, bo musieliśmy

nieustannie walczyć ze złodziejami. Układaliśmy rurociągi stalowe izolowane wełną mineralną, a wierzch zabezpieczaliśmy blachą ocynkowaną. I to właśnie ona była tym łakomym kąskiem dla złodziei. Rano przychodzimy do pracy i zastajemy 30-40 metrów rurociągu (o obwodzie 2,40 m) całkowicie огоłoconego z blachy. Za każdym razem zgłaszałem kradzież na Komisariacie Milicji w Polkowicach. Wkrótce mundurowi przywykli do moich wizyt i zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, witali mnie słowami: „Znowu...?”. To była prawdziwa plaga. Ale trzeba przyznać, że sporo tych blach odzyskaliśmy, ponieważ na ogół wiedzieli-

kiem rekultywacji zanieczyszczonej gleby. Poza tym zastępcza nitka, do której wpuszczano dodatkowe odpady z tej, która uległa awarii, była nadmiernie obciążona i szybciej się zużywała. To wszystko wymuszało ekspresowe tempo napraw.

Aby ograniczyć liczbę takich przypadków, średnio co pół roku, w najgorszym razie raz do roku, obracaliśmy poszczególne segmenty rurociągów. Płynący z dużą szybkością, pod ciśnieniem, szlam wycierał dolne ścianki i zakola rur. Niekiedy tak je wypiskawał, że ścianka o grubości 22 mm odchodziła się do 5 mm, i wtedy zazwyczaj dochodziło do pęknięć.



W kwietniu Państwo Szymczakowie obchodzili pięćdziesiątą piątą rocznicę ślubu. Po prawej syn Marek, po lewej Tomasz - ze swoimi rodzinami.

śmy, gdzie szukać. Pokrywano nimi głównie dachy garaży i altanek. Problem żelaza dopiero wtedy, gdy na rynku poprawiło się zaopatrzenie w materiały budowlane.

■ Nocą, w świetle reflektorów

Do moich obowiązków należały również remonty rurociągów i usuwanie awarii na sieciach. Pęknięcia tych, które odprowadzały odpady po flotacji do stawu osadowego, nie należały do rzadkości. Nieraz nocą dzwonek telefonu wyrwał mnie ze snu; wtedy trzeba było jechać gdzieś w odległy teren i naprawiać uszkodzenie przy świetle reflektorów. Działać musieliśmy szybko, bo nawet jeśli dyspozytor zamknął nieszczelną nitkę, szlam, który pozostał w rurociągu, zalewał uprawy - a to wiadomo wiązało się z kosztami: wypłatami odszkodowań i obowiąz-

Już od wielu lat stalowe rurociągi zastępuje się wytwarzanymi z tworzyw sztucznych PEHD, są o wiele bardziej wytrzymałe na wycieranie. Krótko miałem z nimi do czynienia, gdy pod koniec mojej pracy były wdrażane na flotacji w ZG Rudna. Zapamiętałem, że miały one średnicę od 110 do 250 mm. Pracowałem już wtedy (w latach 1995-96) jako specjalista ds. kosztorysowania i wyceny robót w spółce Budim, wydzielonej w okresie restrukturyzacji KGHM z macierzystej firmy, która wówczas nosiła nazwę BGH-RM Sp. z o.o.

■ W poprzek nurtu Odry

W 1997 roku przeniósłem się do Zakładu Hydrotechnicznego, utworzonego z wydziału wodnego ZG Rudna. Dostałem etat starszego inspek-

tora ds. przygotowania i realizacji produkcji. Do obowiązków moich należało kompletowanie dokumentacji kosztorysowej oraz sprawdzanie i wycena robót związanych z rozbudową i modernizacją zbiornika odpadów poflotacyjnych Żelazny Most, to znaczy z podwyższaniem nasypów, instalacją piezometrów, inklinometrów (nawet do tysiąca metrów w głąb) rejestrujących ruchy górotworu.

Jestem przekonany, że zbiornik Żelazny Most jest naprawdę bezpieczny. Kiedy przygotowywano dokumentację do zwiększenia jego pojemności do 700 mln metrów sześciennych, okoliczni mieszkańcy zaczęli protestować. Znalazłem się w zespole, który na spotkaniach w wioskach przekonywał ludzi, że ten hydrotechniczny obiekt im nie zagraża. W końcu zaprosiliśmy przedstawicieli poszczególnych wsi, żeby z bliska pokazać im, jak ten zbiornik funkcjonuje, jak mało jest tam wody i że gromadzi się ona daleko od zapory, zatem nie ma wpływu na jej stabilność - lustro wody oddziela od zapory plaża o szerokości 200-300 metrów.

Zamieszkującym okolicę ludziom, zwłaszcza tym z Rudnej, najbardziej dokuczало pylenie. W związku z tym zbudowano kurtynę wodną - wyposażony w dysze rurociąg. Gdy z powodu wiatru pojawia się pylenie, dysze wytwarzają wodną mgłę, która zatrzymuje unoszące się w powietrzu cząsteczki pyłu. Bezpośrednio nie brałem udziału w budowie kurtyny, bo takie zadania zleca się obecnie firmom zewnętrznym. Natomiast zajmowałem się przygotowywaniem dla tej inwestycji dokumentacji finansowej.

Warto wspomnieć również o innej proekologicznej inwestycji, która powstała w okresie mojej pracy w Zakładzie Hydrotechnicznym. Mój udział w tym przedsięwzięciu sprowadzał się do wyceny i badania kosztów inwestycji.

Zacznę od tego, że znaczną część wody, która wraz ze szlamem trafia do zbiornika, zwraca się do produkcji, na flotację, a część po oczyszczeniu (w oczyszczalni w Tarnówku) odprowadzana jest do Odry w Głogowie. Ale nie tak jak się to odbywało na początku, kiedy zasolone wody wpuszczano w jednym miejscu bezpośrednio rurą do rzeki. Zamiast tej rury ułożono na dnie rzeki, w poprzek nurtu, rurociąg z nawierconymi otworami i dodatkowo obłożony geowłókniną. Dzięki temu doprowadzona z Żelaznego Mostu woda rozcieńcza się na całej szerokość rzeki.

■ Na koniec - Cuprum Arena

W październiku 2003 roku, po 45 latach pracy, przeszedłem na emeryturę. Najlepiej pracowałem się mi w Zakładzie Hydrotechnicznym, w bardzo zgranym zespole kolegów, z którymi znałem się wcześniej ze spółki Budim, a także z kopalni. Moja praca zawsze mnie pasjonowała, do dziś pamiętam te najciekawsze roboty modernizacyjne, np. gdy na przedsiębiorce zmieniano technologię przygotowania koncentratu, rezygnując z suszenia na rzecz wyciskania wody przy pomocy zgniatacza o sile 220 atmosfer. To były szwedzkie urządzenia, Szwedzi je montowali, a my doprowadzaliśmy instalacje. Nowatorskie rozwiązania zawsze budziły moją ciekawość.

Po pięciu latach na emeryturze, wróciłem do Zakładu Hydrotechnicznego jako pracownik prywatnej spółki Mit-Tel, zajmując się kosztorysowaniem i wyceną robót. Później dostałem propozycję nadzorowania montażu instalacji wodno-kanalizacyjnych w budowanej w Lubinie galerii Cuprum Arena. To była ciekawa ale też wymagająca praca, zetknąłem się z nowymi rozwiązaniami w mojej branży, co wymagało poszerzenia wiedzy w tej dziedzinie. Jednak nigdy nie bałem się tego rodzaju wyzwań.

■ Nagrodzili medalem

Teraz swoich dawnych kolegów z pracy spotykam raz do roku z okazji Barbórki. Na ostatniej zostałem odznaczony - Medalem za Zasługi dla KGHM. Ale z „kombinatem” nadal mam bieżący kontakt za pośrednictwem synów. Starszy Marek ukończył Technikum Górnicze w Lubinie i jest sztygarem w ZWR na Lubinie Głównym, młodszy Tomasz też ma przygotowanie górnicze - pracuje w Zakładzie Hydrotechnicznym jako operator maszyn. Ich dzieci również wybrały kierunki techniczne, choć już poza górnictwem. Dwóch wnuków: Bartek i Piotr zatrudnili się w branży samochodowej, a Patrik w firmie instalacyjnej. Moją dumą jest również jedyna wnuczka, Patrycja - w ubiegłym roku obroniła doktorat na Politechnice Wrocławskiej.

Żeby się nie nudzić i nadal czuć się potrzebny ludziom, włączyłem się w działalność Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów byłych Pracowników KGHM PM S.A. Jestem wiceprzewodniczącym ścinawskiego koła. Organizujemy różnego rodzaju imprezy towarzysko-integracyjne, wycieczki i wczasy, które cieszą się bardzo dużym zainteresowaniem naszych członków. ■

W wałbrzyskiej kopalni węgla pracowałem w ciasnocie, bywało, że czołgałem się niemal po ciemku i czułem się wtedy jak szczur. To była harówka. Zawsze chciałem robić na przodku, ale nigdy mnie tam nie skierowano, bo byłem zbyt wysoki i z trudem mieściłem się w niskich pokładach. Pod ziemią na dobre wyprostowałem się dopiero, gdy w sierpniu 1972 roku przyjęto mnie do kopalni Lubin.

Marian Nowaczyk,
instruktor strzałowy,
Pracował w ZG Lubin
w latach 1972-1988



Gdy kopalnia zaczyna „mruścić”

Kiedy pan Marian podejmował decyzję o wyborze zawodu, w obiegu były banknoty pięciusetzłotowe z wizerunkiem górnika; w latach 50. i 60. był to banknot o najwyższym nominale. Sugerował, że w tym zawodzie dobrze się zarabia i miał ułatwiać władzom agitację ludzi do pracy pod ziemią. Fach górnika był tak zachwalany, że uczniowie ostatnich klas podstawówek dostawali do ręki wykaz szkół górniczych w całej Polsce.

– I z takiego właśnie spisu wybrałem przyzakładową szkołę zawodową Kopalni Bolesław Chrobry w Wałbrzychu. Zdecydowałem się na ten ciężki zawód, mimo że w rodzinie nie było tradycji górniczych – tak Marian Nowaczyk zaczyna swoją opowieść o tym, jak trafił do kopalni węgla, a z czasem do zagłębia miedziowego.

■ Czułem się jak szczur

Był kilkunastoletnim chłopcem, kiedy pierwszy raz zszedł do kopalni. Pamięta, że droga prowadziła przez upadłą długości około 300 m. Tą samą trasą, taśmociągami wywozili urobek na powierzchnię. Pokłady węgla były zagazowane i niskie, o miąższości około 120 do 150 cm. Poruszając się po kopalni, musiał przeciskać się przez ciasne wyrobiska. Już wtedy zorientował się, że w zawodzie górnika będzie ciężko, mimo to nie zamierzał z tej pracy rezygnować.

Po skończeniu szkoły, w 1962 roku, dostał angaż na pomocnika dołowego, a że miał wówczas zaledwie 17 lat, przełożeni go oszczędzali i dniówkę kończył szybciej niż koledzy. Kiedy osiągnął pełnoletniość, dostał do ręki kilof i łopatę; przez



Marian Nowaczyk trzyma lampę ługową, ważącą 6 kg. Używano jej do 1965 roku w wałbrzyskiej kopalni węgla. Lampa dawała słabe światło, skutkiem czego górnicy pracowali niemal po ciemku.

kolejne dwa lata były one jego podstawowymi narzędziami pracy. I jak zauważa - do dzisiaj na Węglu narzędzia te są przydatne.

Potem awansował na młodszego górnika, co oznaczało nie tylko lepiej płatne zadania akordowe, lecz także większą odpowiedzialność. Jako pomocnik dołowy drewno na obudowę mógł tylko transportować. Po awansie pozwolono mu pomagać w jej konstruowaniu, choćby przez proste docinanie stojaka. W kopalni powstawał w ten sposób, jak to określa, istny las, który zniknął wraz z wprowadzeniem obudowy stalowej.

Po trzech latach od skończenia szkoły został kwalifikowanym górnikiem, czyli rębaczem. Mógł zatem namalować sobie biały pasek na kasku, wzbudzając respekt młodszych kolegów, gdyż „na ścianie” panowała ścisła hierarchia.

Z czasem doczekał się od kierownictwa kopalni listu pochwalnego za „sumienne wykonywanie

obowiązków”. Uroczystego wręczania nie było, odebrał go po prostu na markowni. Nie szła za tym też żadna gratyfikacja pieniężna, mimo to w ówczesnym klimacie „kultu pracy” taka pochwała była wielkim wyróżnieniem i - jak pamięta - poczuł się wówczas górnikiem całą gębą. Wtedy też przyszedł czas na zmiany.

- Przez sześć lat robiłem wyłącznie na nockach. Żona się przyzwyczaiła do mojej nieobecności w domu, ale z czasem oboje poczuliśmy się zmęczeni tą sytuacją. W wałbrzyskiej kopalni węgla pracowałem w ciasnocie, bywało, że czołgałem się niemal po ciemku i czułem się wtedy jak szczur. To była harówka. Zawsze chciałem robić na przodku, ale nigdy mnie tam nie skierowano, bo byłem zbyt wysoki i z trudem mieściłem się w niskich pokładach. Pod ziemią na dobre wyprostowałem się dopiero, gdy w sierpniu 1972 roku przyjęto mnie do kopalni Lubin.

■ Biegałem od okna do oka

Do KGHM przyciągnęła pana Mariana perspektywa dachu nad głową.

- Chodziła fama, że jak się tu zatrudnisz, to ładne mieszkanie dostaniesz po trzech miesiącach. Obiecywali mi to, kiedy przyjmowałem się do pracy w kopalni, słowa jednak nie dotrzymani. Mimo że stale się przypomiinałem przełożonym,

zbywali mnie, by dopiero po trzech latach „uszcześliwić” ciasnymi czterema kątami w wieżowcu - opowiada Marian Nowaczyk.

- I w tej klatce dla królików mieszkamy do dzisiaj - wtrąca żona pana Mariana. - Kiedy przyjechałam do Lubina, byłam niezadowolona. W Wałbrzychu miałam lepsze warunki, żyłam w domu z ogródkiem.

- Ale przecież wiesz, że zbyt wiele osób tam mieszkało i ktoś musiał się wyprowadzić, poza tym chcieliśmy być na swoim - przypomina jej mąż i dodaje: - Gdybym przyjechał do zagłębia miedziowego dwa lata wcześniej, mieszkanie dostałbym prawdopodobnie od ręki. Spóźniliśmy się, za to zarobki były tu lepsze niż na Węglu.

- Ludziom, którzy zazdrościsz pieniędzy górnikom, radzę, żeby zjechali do kopalni i zobaczyli, jak ciężko na nie pracują, narażając zdrowie, a nawet życie. Przez lata bałam się o Mariana. Przysta-

nek, na którym górnicy wysiadali z autobusu, widziałam z mieszkania. Jeśli męża na nim nie było, biegałam zdenerwowana od jednego okna do drugiego, zwłaszcza że dość długo pracował jako strzałowy. Ale z takim strachem nie można stale żyć, musiałam się przyzwyczaić, choć wiedziałam, że kilku jego kolegów zginęło... – wspomina pani Maria.

■ W miedziowej fabryce

Marian Nowaczyk pracował początkowo na oddziale trzecim Szybu Wschodniego Bolesław. Kiedy pierwszy raz zjechał do kopalni rudy miedzi, był nieco przestraszony wielkością wyrobisk. Mówił: „Obudowa kotłownia? To jak bez obudowy!”.

Długo obawiał się, że coś spadnie mu na głowę, z czasem przywykł jednak do tych warunków i się uspokoił. Z drugiej strony był zadowolony, że nie musiał się już czołgać w ciasnych wyrobiskach i dźwigać olbrzymich ciężarów, jak to było na Węglu.

– Kiedy na „Chrobrym” musieliśmy 300-kilogramowy silnik do przenośnika wymienić na nowy, transportowaliśmy go jakieś pół kilometra, trochę po upadowej, potem przez pozaciskane chodniki, ledwo się w nich mieszcząc. Na pewnych odcinkach trzeba było przenosić go po prostu o własnych siłach. Niektórzy tych obciążeń nie wytrzymywali i zmieniali pracę. Natomiast tutaj takie ciężary transportowano samochodami. Byłem zaskoczony tym, że pod ziemią jeździły wielkie maszyny, pracowali kierowcy, słusarze, elektrycy. To był inny świat. I choć na ZG Lubin praca też nie była lekka, miałem wrażenie, że przeszedłem

z kopalni do fabryki, bo tu większość pracy wykonywały maszyny. Dlatego zawsze powtarzam: „Kto nie robił na Węglu, nie jest prawdziwym górnikiem” – przekonuje Marian Nowaczyk.

■ Okropnie telepało

Zanim w kopalniach rudy miedzi mechanizacja zaczęła się na dobre, pan Marian przez jakiś czas obsługiwał WUP, to jest wiertarkę udarowo-powietrzną.

– Otwory w ścianach wierciliśmy ręcznie. Okropnie wtedy nami telepało – wspomina. – Można było nabawić się choroby vibracyjnej, na szczęście pracowałem tam niedługo. Kiedy nieco później moi koledzy Zbigniew Lachman i Janek Gola (potem awansowali na oddziałowych) przyjeżdżali się do ZG Lubin, powierzono im już ob-



Grupa uczniów szkoły przyzakładowej Kopalni Bolesław Chrobry w Wałbrzychu, (wśród nich pan Marian - pierwszy na górze z lewej) wraz z nauczycielem zawodu. Rok 1961.

sługę jeżdżących na gąsienicach maszyn wierzących SBU.

Doświadczenie, jakie zdobyłem w kopalni węgla, przydawało się na Miedzi, bo dopełniało wie-



Karczma Piwna, lata 90. Marian Nowaczyk w środku.

dzę moich kolegów, górników, którzy przychodzili tu głównie ze starego zagłębia. Dobrze współpracowało się mi z Pawłem Śmigielem, z Tadeuszem Czyżowskim i Adam Wiliamem. Pierwszym moim sztygarem oddziałowym był Małota, potem Junkto, następnie Czesław Szczepanik, Zbigniew Kur i Kazimierz Kuźniar.

Najdłuższy kontakt miałem ze Zbyszkim Kurem, bo pracowaliśmy razem także po przeniesieniu się na oddział 9. Szybu Zachodniego. Wtedy miałem już za sobą specjalne kursy, awans na górnika strzałowego, a potem na instruktora i doświadczenie w pracy na oddziale strzałowym.

■ Zostaw maszynę! Uciekaj!

Na oddziale 9. pan Marian przeżył pierwsze „niewinne” - jak je określa - tapania w kopalni, odczuwane głównie po robotach strzałowych. Rejestrowano je coraz częściej, aż doszło do tragedii. Zginęli wówczas operatorzy fadromy i wozu odstawczego, przysypani skałami.

- Któregoś dnia przed pierwszą zmianą, kierownik krzyknął: „Panie Marianie! Strzałowi nie wyjechali po tąpnięciu!”. Zjechaliśmy szybko na dół, obeszliśmy cały oddział i zobaczyliśmy, że w przodku, spod rumowiska wystaje fragment wozu SWS. Ruszyła akcja ratownicza, wybierali-

śmy urobek, jak mogliśmy najszybciej, choć wiedzieliśmy, że ich szanse na przeżycie są nikłe. Niestety, nasze przeczucia się potwierdziły.

Oddział 9. stawał się coraz bardziej niebezpieczny i dochodziło do kolejnych wypadków.

- Niekiedy wbrew przepisom górniczym wchodziliśmy w niezabudowany przodek, bo tam trzeba było szybko strzelić. Czy się nie bałem? Pod ziemią mądrze jest się bać i być odpowiedzialnym za życie kolegów. Dlatego z czasem stałem się bardzo ostrożny. Gdy tylko kopalnia zaczynała „mruczeć”, zarządzałem: „Tu nie robimy”. Wtedy wszyscy bez

dyskusji się wycofywali. Któregoś razu zawołałem do wiertacza: „Zostaw maszynę i uciekaj!”. Ledwo zdążyliśmy dojść do komory oddziałowej, gdy usłyszeliśmy ogromny huk - wszystko się zawaliło...

■ Uratowali mu stopę

Oddział 9. sąsiedował z oddziałem 20. kopalni Polkowice. To sąsiedztwo wymuszało nadzwyczajną ostrożność i wymagało zsynchronizowanego strzelania przodków. Mimo to dochodziło do wstrząsów.

W czasie kolejnego tąpnięcia oderwał się kawał skały i zmiażdżył mu stopę. Chirurgzy z oddziału ortopedycznego profesora Bielańskiego uratowali mu stopę, lecz nieco później nie obeszło się bez problemów, gdyż rany długo nie chciały się goić.

- Przy prawie dwudziestostopniowym mrozie, w samej piźniamie, z mokrym jeszcze gipsem na nodze, wsadzono mnie do karetki i zawieziono do domu, pozostawiając przy windzie - Marian Nowaczyk wraca pamięcią do wypadku. - Nikt się wtedy ze mną nie cackał, bo właśnie wybuchł stan wojenny i szpital na gwałt przygotowywano na przyjęcie rannych. Ten najgorętszy okres przeleżałem w łóżku, ale z opowiadań wiem, że na ZG Lubin było niebezpiecznie.

■ Projekt na spągu

Przełożeni i koledzy cenili go za fachowość i niejednokrotnie powierzali najtrudniejsze zadania:

– Któregoś dnia Rzepka, kierownik robót, mówi do mnie: „Na komorę zaczyna pociskać i pękają krzyżówki. Jakby pan widział zabezpieczenie tego skrzyżowania?”.

– Takie prace musiały być poprzedzone projektem, wstępnie rozrysowaliśmy więc wszystko na spągu. Potem wyposażeni w fadromę i kotwiarkę, ruszyliśmy z robotą. Wyrobisko było tak wysokie, że do stropu nie mogliśmy sięgnąć nawet łyżką fadromy. Do wzmocnienia użyliśmy drewnianych stropnic, stalowych rur i innych elementów. W trakcie robienia obudowy wielkość skrzyżowania ocenilem na oko, mimo to późniejsze pomiary sprawdzające wypadły idealnie. Gdy wszystko było już zabezpieczone, prawdziwy projekt powstał na papierze. Być może ktoś wziął za to pieniądze, ale to nie byłam ja – uśmiecha się pan Marian.

■ Do „malucha” za wysoki

Dostawał od przełożonych niełatwe zadania, ale i nagrody go nie omijały. Któregoś roku kierownictwo uznało, że zasłużył na talon na samochód. Starał się o „malucha”, bo na lepszy pojazd nie miał pieniędzy. Mimo to przełożeni wręczyli panu Marianowi talon na dużego fiata, przekonując, że do „malucha” jest za wysoki.

– W połowie lat 80. inflacja tak galopowała, że gdy dostałem przydział, auto kosztowało 300 tys. zł, a gdy odbierałem fiata, musiałem zapłacić nieco ponad 1 mln zł – wspomina pan Marian.

Nie było to jedyne uznanie za solidną pracę. Któregoś roku jego portret, jako przodownika pracy wyrabiającego 130 procent normy, niesiono w pochodzie 1-majowym.

– Kiedy byłem już na emeryturze, młodszy kolega znalazł to moje zdjęcie w kopalnianym magazynie i mi przyniósł. Znajomi powiesili je wówczas na działkach z podpisem „Prezes Ogródków Leśna Polana”. Potem portret ten gdzieś zniknął – opowiada z rozbawieniem pan Marian. Wspomina też o różnych „przywilejach” związanych z pracą w kopalni.

Jeśli ktoś miał trochę szczęścia i załapał się na zmianę w sobotę, zarabiał 300 procent tego, co w dzień powszedni. Pieniądże zwykle wydawał w tak zwanym górniczym peweksie. Jego dobre zaopatrzenie cieszyło głównie żony górników. Natomiast im samym, w czasach pustek na półkach



Na krótko przed przejściem na emeryturę Marian Nowaczyk dostał przydział na mundur górniczy.

sklepowych, szczególną przyjemność sprawiała możliwość wypicia piwa po wyjeździe ze zmiany.

– W latach 80. pod kopalniami funkcjonowała, chyba nie całkiem legalna, obwoźna sprzedaż piwa. Sprzedawcy pojawiali się z towarem, gdy górnicy kończyli pracę. Zanim wsiedli do autobusu, zdążyli wypić piwo albo zaopatrzyć się na



Marian Nowaczyk na trybunach wrocławskiego stadionu podczas zawodów żużlowych.

wieczór. A bywało, że i niektórzy kierowcy, sprzedawali je pokątnie, a nawet czasem służyli czymś mocniejszym – pan Marian zdradza tajniki zaopatrzenia sprzed lat.

Za swoiste uwieńczenie swoich awansów zawodowych uważa przydział na mundur górniczy, który dostał na krótko przed przejściem na emeryturę. Teraz obwieszony odznakami uniform z zadowoleniem wyciąga z szafy.

■ Suchocka zabrała

– Tuż przed przejściem na emeryturę został odznaczony Orderem Sztandaru Pracy II Klasy, co wiązało się z dodatkiem pieniężnym.

– Otrzymywałem go, niestety, tylko kilka miesięcy, bo rząd Hanny Suchockiej zniósł ten dodatek – mówi nie bez żalu pan Marian.

Po tym jak przestał być aktywny zawodowo, w 2002 roku zaangażował się w zakładanie Związku Emerytów i Rencistów byłych Pracowników KGHM, którego – jak pamięta – najaktywniejszym działaczem był Henryk Andrysiak. Po dwóch latach Związek przekształcono w stowarzyszenie, które początkowo działało tylko w Lubinie, z czasem objęło swoim zasięgiem całe zagłębie miedziowe. Dzisiaj pan Marian korzysta

z organizowanych przez nie wycieczek, wczasów i imprez.

– W zeszłym roku byłem na Węgrzech, w marcu tego roku wypoczywałem w Kudowie Zdroju i właśnie wybieram się do wód termalnych w Szaflarach, a później na wycieczkę w Bieszczady i do Lwowa. Każdego roku biorę udział w imprezach: „Powitanie lata”, „Pożegnanie lata”. Jest to pretekst do spotkania się, wypicia piwa i pogawędzenia z kolegami, a nawet potańczenia z koleżankami. Chętnych do zabawy przychodzi немало, bywa że około 150-180 osób – mówi. – Jednak wszelkie rekordy frekwencji bije Biesiada Górnicza.

Teraz interesuje się żuźlem, pilnie obserwując wydarzenia w tym sporcie. Jeździ na zawody żużlowe, zwykle do Wrocławia, Leszna i Pragi, i jak wielu górników – wędkuje.

Pan Marian na emeryturze jest od 28 lat i z tej perspektywy podsumowuje:

– Na Węglu praca była ciężka i wyczerpująca, w kopalni miedzi natomiast lżejsza, ale bardziej niebezpieczna. Choć czas spędzony w kopalniach wspominam z leżką oku, drugi raz w ten zawód bym nie wszedł, bo jest to niebezpieczna przyгода. ■

**Gdy na stadionie zobaczyłem
baner z napisem „100 lat
Rokson!”, bardzo się ucieszyłem,
bo kilka dni wcześniej miałem
urodziny. Chwilę potem
schodząc z trybuny, potknąłem
się i poleciałem głową w dół
z wysokości trzech metrów na
betonowe podłoże. Gdy w szpitalu
odzyskałem przytomność,
usłyszałem, że Zagłębie przegrało
0:1.**

*Zbigniew Gromek,
górnik ZG Lubin,
pracownik klubu
MKS Zagłębie Lubin.
Pracował w kopalni
w latach 1973-1994
i od 1994 do 2013
roku w klubie*



Pod ziemią i na stadionie

Urodził się w Warszawie, niespełna rok przed wybuchem II wojny światowej. Tuż po jej zakończeniu rodzice się rozstali. Jego bratem Wojtkiem zajęła się ciotka, Zbigniew trafił do domu dziecka.

– Byłem w ostatniej klasie szkoły podstawowej, gdy na spotkanie z podopiecznymi domu dziecka, w Leśnej pod Warszawą, przyjechała delegacja górników. Ta wizyta zadecydowała o moim dalszym życiu – rozpoczyna swoją opowieść Zbigniew Gromek. – Podziwialiśmy ich galowe mundury obwieszone medalami i czapki z pióropusami. Górnicy ciekawie opowiadali o swojej pracy wymagającej odwagi i roztaczali perspektywy wysokich zarobków. Wtedy postanowiłem, że zostanę górnikiem – wspomina.

Po podstawówce wyjechał na Górny Śląsk uczyć się w Zasadniczej Szkole Górniczej przy Kopalni Węgla Kamiennego „Pstrowski”, w Zabrze Biskupicach. Po jej ukończeniu z nakazu pracy znalazł się w patronackim zakładzie. Przez dwa

lata fedrował węgiel w zabrzańskiej kopalni, do czasu aż odnalazła go tam matka. Wyszła ponownie za mąż, zamieszkała w Janowicach na Dolnym Śląsku i zapraszała, aby do niej przyjechał.

■ Uderzał najciężniej

Przyjął zaproszenie, bo się okazało, że ani praca w kopalni węgla nie była tak romantyczna i atrakcyjna, ani zarobki tak rewelacyjne, jak obiecywali górnicy podczas pamiętnej wizyty w domu dziecka.

– Znalazłem robotę w kamieniołomach w Wojcieszowie, gdzie było nawet ciężiej niż w kopalni. Na pierwszą zmianę wstawałem o godzinie 2.30, by z Janowic dojechać autobusem do pracy. W kamieniołomie moje stanowisko znajdowało się pod skałą, stały tam specjalne bлаты, na które - po odpaleniu ładunków wybuchowych - koparka dowoziła kamienie, a ja rozbijałem je młotem. Po kilku latach doszedłem do takiej wprawy, że

jednym uderzeniem potrafiłem rozbijać okazałych rozmiarów głazy. Cały sekret – wyjaśnia pan Zbigniew – nie polegał na jak najmocniejszym uderzeniu, tylko na znalezieniu miejsca, w które należy je skierować.

■ I znowu w kopalni

W Wojcieszowie poznał przyszłą małżonkę, Helenę, z Sokołowca, jej matka również pracowała w kamieniołomie. Po ślubie, w 1960 r., przeniósł się do Wojcieszowa. Rok później urodziła się im córka Lila, w 1965 r. Roma i dwa lata później Beata. Trudno było utrzymać liczną rodzinę, tym bardziej, że zarobki miał raczej przeciętne. Dlatego gdy pewnego dnia spotkał w Wojcieszowie kolegę, który namawiał go na wyjazd do Lubina, mówiąc



W 1995 r. na mecz Pucharu UEFA do Lubina przyjechała słynna włoska drużyna AC Milan. Na zdjęciu: Gromek obok równie słynnego, jak drużyna, trenera Fabio Capello.

że kierownikiem kadr w kopalni miedzi jest ich znajomy Henryk Ladek, długo się nie zastanawiał.

Henryk Ladek ucieszył się na widok młodszego kolegi z boiska. I tak, 27 stycznia 1973 r., pan Zbigniew po raz drugi został górnikiem, tym razem miedziowym.

– Trafiłem na Szyb Główny, do brygady sztygara Nowackiego na oddziale G-5. Pierwszy zjazd na dół, i... ogromne zaskoczenie – wspomina. – Warunki zupełnie inne niż na Węglu, gdzie często trzeba było pracować na kolanach. Tu przestronne chodniki, dobra wentylacja, brak zapylenia.

Przez kilka lat pracował na kracie, później na podszybiu, był też pomocnikiem operatora kottwarki. Starał się bardzo solidnie wypełniać swoje

obowiązki, toteż szybko zaskarbił sobie szacunek kolegów i przełożonych.

Z rejonu Lubina Głównego przeszedł na oddział G-9, na Lubinie Zachodnim, do brygady Zbigniewa Kura. W lutym 1979 r., gdy Zbigniew Kur był już sztygarem oddziałowym, załapał się na kopalniane uroczystości z okazji wydobywania milio nowej tony utoroku.

■ Twardziel Roxon

W 1980 roku, po siedmiu latach dojazdów z Wojcieszowa do Lubina, Gromkowie otrzymali mieszkanie z puli kopalni. Z biegiem lat pan Zbyszek stał się jednym z popularniejszych górników ZG Lubin. Może nie każdy wiedział, kto to jest Zbigniew Gromek, ale „Roksona” znali niemal

wszyscy. Ksywkę zyskał od nazwy urządzenia typu Roxon, służącego do rozbijania brył. Pierwsze uruchomiono w listopadzie 1978 r. na punkcie przesypowym w rejonie Lubina Zachodniego. A było tak:

– Kiedyś operator ładowarki przywiózł na punkt przesypowy imponujących rozmiarów bryłę. Przez półtora godziny kilku górników męczyło się z nią bezskutecznie. Kiedy poproszono mnie o pomoc, najpierw bardzo dokładnie obejrzałem bryłę, a potem chwyciłem młot i kilka razy uderzyłem w to największe miejsce. I było po kłopotcie. Edek Rzepka z podziwem krzyknął: „Zbysiu, ty jesteś

lepszy niż Roxon!!!”. I tak zostałem „twardzielem Roksonem”. Dzisiaj Roksony to już niemalże przeszłość. Z czasem ich producent, firma Rammer, w miejsce wysłużonych Roksonów, wprowadziła nową generację młotów hydraulicznych o nazwie Rammer.

Na Lubinie Zachodnim Zbigniew Gromek przepracował do czerwca 1994 r., po czym przeszedł na emeryturę. W okresie pracy pod ziemią nie przydarzył się mu ani jeden wypadek, a w pamięci zachował tylko dobre wspomnienia.

■ Z piłką przez życie

Zawsze pasjonował się piłką nożną. W domu dziecka grał w reprezentacyjnej drużynie w róż-

nych rozgrywkach i imprezach sportowych, podobnie w zasadniczej szkole górniczej. Gdy pracował w KWK Pstrowski, grywał amatorsko i kibicował oczywiście Górnikowi Zabrze. Po przyjeździe do Janowic został zawodnikiem miejscowego zespołu LZS, potem przeniósł się do Orła Wojcieszów. Był obrońcą w drużynie Orła występującej w lidze okręgowej.

Po narodzinach drugiej córki zrezygnował z czynnego uprawiania sportu, nadal pozostając fanem piłki nożnej. W Lubinie na pierwszy mecz Zagłębia poszedł po wznowieniu rozgrywek w rundzie wiosennej 1973 r. Drużyna grała wówczas w III lidze i walczyła o awans do wyższej. Tylko ten jeden raz pojawił się na stadionie jako zwykły kibic. Od następnego spotkania - już w charakterze porządkowego. W tygodniu pracował w kopalni, a wszystkie weekendy w trakcie rozgrywek ligowych spędzał na stadionie. Gdy przeszedł na emeryturę, został zatrudniony w klubie. W 1998 r. Zagłębie przekształciło się w sportową spółkę akcyjną, a Gromek stał się pracownikiem Grupy Impel, która przejęła obsługę Zagłębia. Dopiero po 40. latach związku z klubem przestał pomagać w organizacji spotkań piłkarskich - od tego czasu ogląda mecze w sektorze kibica.

■ Pucharowa euforia

Całą historię klubu Zbigniew Gromek zna na pamięć. Z sentymentem wspomina czasy, gdy 1974 roku trenerem zespołu został Alojzy Sitko.

Pod jego wodzą lubinianie na własnym boisku gromili rywali, wzbudzając euforię kibiców szalenie wypełniających trybuny stadionu górniczego. Dobre ligowe występy przeplatali jeszcze lepszymi



Przez ponad 43 lata Zbigniew Gromek nie opuścił ani jednego meczu Zagłębia Lubin.



Klub Kibica Zagłębia Lubin 71. urodziny Zbigniewa Gromka uczcił okolicznościowym transparentem na meczu z Lechem Poznań.

w Pucharze Polski. Właśnie wtedy pan Zbigniew był świadkiem wydarzeń, które złotymi zgłoskami zapisały się na kartach historii lubińskiego klubu.

- Gdy rozgrywki wkroczyły w fazę ogólnokrajową, na drodze Zagłębia stanął Ruch Chorzów, 11-krotny mistrz kraju i obrońca Pucharu Polski, w szeregach którego występowali tacy piłkarze jak Zygmunt Maszczyk, Joachim Marx, Jerzy Wyrobek, Jan Beniger, Bronisław Bula czy Piotr Czaja (także członkowie kadry narodowej). Ruch miał jechać do Turcji na mecz Pucharu Europy z Fenerbahce Stambuł. W drodze ma lotnisko przyjechali do Lubina, rozegrać - jak pisano w ga-



To, że pan Zbyszek jest fanem piłki nożnej i Zagłębia Lubin dokładnie widać w jego pokoju.

zetach - spotkanie kontrolne, właściwie sparing. Goście srodze się zawiedli. Po bramkach Rudolfa Koniecznego i Eugeniusza Światły prowadziliśmy 2:0. Jeszcze przed przerwą chorzowianie zdobyli kontaktowego gola. W II połowie zdecydowanie przeważali, Beniger wyrównał i wydawało się, że jest „po ptakach”. W naszej bramce znakomicie spisywał się jednak Franciszek Machej, a po jednym z błyskawicznych wypadów, dzięki Jankowi Ławnikowi, wyszliśmy na prowadzenie. W końcówce meczu chorzowianie niemal nie schodzili z naszej połowy. To była istna „obrona Częstochowy”. Po ostatnim gwizdku sędziego kibice wbiegli na boisko, na ramionach znosili piłkarzy z murawy, a chóralnemu „sto lat” nie było końca – emocjonuje się pan Zbigniew.

W ćwierćfinale Zagłębie grało z wicemistrzem kraju Górnikiem Zabrze. Na stadion przyszło oko-

ło 20 tysięcy kibiców, była to rekordowa liczba w historii małego stadionu górniczego, na którym Zagłębie rozgrywało ligowe mecze do 1985 r. Andrzej Szarmach i reszta jego zespołu nas nie zlekceważyli, mimo to wygrali skromnie, tylko 1:0. W głównej mierze dzięki znakomitej postawie naszego bramkarza Franciszka Macheja.

■ Sparing z Michele Platiniem

Za kadencji Sitki Zbigniew Gromek nie oglądał spotkań z trybuny, tylko z ławki rezerwowej, gdyż trener dołączył go nieoficjalnie do sztabu szkoleniowego. W 1975 r. Zagłębie pierwszy raz w historii awansowało do II ligi. Niestety po roku lubinianie spadli do III ligi.

– We wrześniu 1976 r. drużyna pojechała na obóz do Francji, gdzie rozegrała mecz sparingowy

z AS Nancy, zespołem grającym w tamtym czasie na najwyższym europejskim poziomie, naszpikowanym gwiazdami reprezentacji tego kraju, wśród których był mało jeszcze wówczas znany polskim kibicom Michel Platini. Przegraliśmy 3:2, ale niewiele brakowało do sprawienia niespodzianki – przekonuje pan Zbigniew.

W 1977 r. Eugeniusz Mycak zastąpił Alojzego Sitkę i wywalczył drugi w historii awans do II ligi. Niestety historia się powtórzyła i po roku Zagłębie wróciło na trzecioligowe boiska.

– W tym samym czasie dzielnie walczyliśmy w rozgrywkach o Puchar Polski, odpowiadając z kwitkiem takie drużyny jak GKS Katowice, Legia Warszawa, Górnik Zabrze. Dopiero w półfinale ulegliśmy Wiśle Kraków, a frekwencja na spotkaniu była taka sama jak w pamiętnym ćwierćfinale z Górnikiem Zabrze, czyli blisko 20 tysięcy kibiców. To dwa rekordowe osiągnięcia na małym stadionie – podkreśla.

■ Nie tylko futbol

W latach 80. Zagłębie Lubin było jednym z największych i prężnie rozwijających się klubów w Polsce. Sukcesy święciły m.in. sekcje bokserska oraz piłki ręcznej mężczyzn i kobiet. Pan Zbigniew nie mógł żyć bez sportu, więc w przerwach w rozgrywkach piłkarskich włączał się w działalność innych sekcji.

– Przed walkami bokserów przygotowywaliśmy halę i rozkładaliśmy ring, ale nie tak od razu w hali sportowej przy ul. Składowej. Na początku bokserzy walczyli w cechowni na Lubinie Głównym, a trenowali w Kościółku na terenie zarządu KGHM. Piłkarki i piłkarze ręczni przez długie lata rozgrywali spotkania w sali gimnastycznej II Liceum Ogólnokształcącego w Lubinie, później w nowej hali sportowej przy Szkole Podstawowej nr 14. Tam też aktywnie pomagałem przy organi-

zacji meczów. Gdy szczypiorniści przenieśli się do hali widowiskowo-sportowej Regionalnego Cen-



Zbigniew Gromek, mimo swoich 78 wiosen, do dziś aktywnie uczestniczy we wszystkich uroczystościach górniczych, rajdach, wycieczkach i spotkaniach górniczych z kolegami. Na zdjęciu z Czesławem Wroną na corocznym rajdzie „Powitanie wiosny”.

trum Sportu, zrezygnowano z naszych usług i od tego czasu ich mecze oglądam tylko jako kibic.

■ Rekordy frekwencji

W 1982 roku piłkarze, prowadzeni ponownie przez Stanisława Świerka, awansowali do grona II-ligowców. Wreszcie trzy lata później pod okiem trenera Eugeniusza Różańskiego przyszedł długo oczekiwany awans do ekstraklasy.

– W tym samym roku oddano do użytku długo wyczekiwany nowy stadion Górniczego Ośrodka Sportu. 22 lipca 1985 odbyły się oficjalne uroczystości jego otwarcia, a drużyna rozegrała towarzyskie spotkanie z Pogonią Szczecin. Mecz zakończył się wynikiem remisowym 1:1 - na trybunach zasiadło ponad 30 tys. widzów – wspomina.

To na nim, sześć dni później, Zagłębie rozpoczęło swój pierwszy sezon w ekstraklasie. Pojedynek z GKS Katowice ponownie zgromadził na trybunach ponad 30 tysięcy ludzi, co do dzisiaj jest

rekordem, jeśli chodzi o frekwencję na ligowych meczach Zagłębia.

mógł pomieścić ich znacznie więcej. Świadczy o tym rekordowa frekwencja w meczu reprezen-



Rok 2015. Karczma Piwna Emerytów i Rencistów ZG Lubin. Wieloletni policjant karczmny Zbigniew Gro-mek w towarzystwie gościa honorowego karczmy Marzeny Kipiel-Sztuki. W tle (siedzi) Kazimierz Zią-ja, legendarny dyrektor kopalni (zmarł w lutym br.) oraz (stoi) Wojciech Seredyński. Z prawej Ryszard Kuc, prezes karczmy.

– W zespole grali m.in.: Romuald Kujawa, Janusz Kubot, Andrzej Turkowski czy wchodzący do drużyny Wiesław Stańko – wymienia. – Jednak największą gwiazdą był wówczas Eugeniusz Ptak i to właśnie on pokonał bramkarza GKS w 60 minucie. Zagłębie wygrało 1:0 i uduchowanie nowego rozdziału w swojej historii.

Warto podkreślić, mówi pan Zbigniew, że w tamtym czasie stadion w Lubinie był jednym z najnowocześniejszych i największych w Polsce. W swoim kompleksie posiadał hotel, restaurację i gabinety odnowy biologicznej. Nad jedną z trybun znajdowała się nowoczesna tablica węgierskiej produkcji. Obliczony na około 35 tys. widzów,

tacji Polski z ZSRR w 1989 r., zremisowanym 2:2, gdy na trybunach zasiadło ponad 50 tys. widzów.

– Obiekt nosił oficjalną nazwę Stadion 40-lecia Powrotu Ziemi Zachodnich i Północnych do Macierzy, ale myśmy nigdy jej nie używali. Mówiliśmy Stadion GOS-u (od Górniczego Ośrodka Sportu) – zaznacza pan Zbigniew.

■ **Porażka w Kopenhadze**

W sezonie 1985/1986 Zagłębie zajęło 12 miejsce, rok później było jeszcze lepiej - ósma lokata na finiszu rozgrywek.

– Ku ogromnemu zaskoczeniu w następnym sezonie zajęliśmy 11. miejsce, które oznaczało ko-

niechęć rozegrania dwóch meczy barażowych z Górnikiem Wałbrzych o pozostanie w gronie najlepszych. Pamiętam, że na pierwszą potyczkę do Wałbrzycha pojechałem bardzo zmęczony, po ciężkiej nocy. Ale w naszej grupie przeważał optymizm i nawet porażka 1:2 w Wałbrzychu tego nie zmieniła. Byliśmy przekonani, że w rewanżu odrobimy straty. Niestety padł remis 2:2, który oznaczał naszą degradację – mówi z żalem.

Kwarantanna w II lidze trwała tylko rok. Po powrocie do ekstraklasy zespół trenowany przez Stanisława Świerka doskonale prezentował się w sezonie 1989/1990. Zagłębie wywalczyło wice mistrzostwo Polski (wygrał Lech Poznań) i uzyskało prawo gry w Pucharze UEFA.

– W pierwszej rundzie trafiliśmy na siedmiokrotnego mistrza Włoch i dwukrotnego zdobywcę Pucharu tego kraju, drużynę Bologna F.C. – relacjonuje stare wydarzenia. – Niestety przegraliśmy dwa razy po 0:1 i marzenia o podboju Europy legły w gruzach. Następny rok, już pod wodzą trenera Mariana Putyry (zastąpił Świerka po 12 kolejkach), okazał się jeszcze lepszy. Głównymi rywalami w walce o tytuł były: Górnik Zabrze, Wisła Kraków i GKS Katowice. W naszym zespole do najlepszych należeli: Janusz Kudyba oraz Dariusz Marciniak. W środku pola rządili nieduży wzrostem, ale wielcy duchem - Zbigniew Szewczyk oraz Adam Zejer. Szykami obronnymi kierowali Stefan Machaj i Andrzej Wójcik, natomiast bramki strzegł Jarosław Bako. W przedostatniej kolejce Zagłębie pokonało 2:1 Zawiszę Bydgoszcz, zapewniając sobie pierwszy w historii tytuł mistrzowski. W Pucharze Mistrzów Klubowych, zwanym dzisiaj Ligą Mistrzów, los przydzielił nam trudnego rywala, czterokrotnego mistrza Danii, półfinalistę pucharu UEFA z poprzedniego sezonu - Broendby IF Kopenhaga. Wydawało się, że z Duńczykami możemy powalczyć. Niestety, porażka 0:3 w pierwszym meczu w Kopenhadze przesądziła o losach rywalizacji. W rewanżu wygraliśmy 2:1, co było wartościowym wynikiem, ale z awansu cieszyli się przeciwnicy.

■ Szukałem Darka po Polsce

– Dariusz Marciniak trafił do nas ze Śląska Wrocław w zamian za autokar i aparaturę medyczną, którą kombinat kupił wrocławskiemu szpitalowi wojskowemu. Był znakomitym piłkarzem, ale zbyt często zaglądał do kieliszka.

Mieliśmy z nim ustawiczne problemy, dyrektor klubu Edmund Halamski nakazał bezustannie go pilnować. Wieczorem, po zajęciach, odwoziłem Darka do domu, rano przyjeżdżałem po niego na trening. Niestety mimo naszego nadzoru często zniknął, ruszał gdzieś w Polskę, nieraz na kilka dni. Po zdobyciu mistrzowskiego tytułu pozwolono mu wyjechać na kontrakt do Belgii. Nie zmienił jednak trybu życia, wrócił do kraju, zmarł w kwietniu 2003 roku. Był jednym z największych niespełnionych talentów polskiej piłki nożnej lat 80. Gdy był piłkarzem Śląska Wrocław, ubiegali się o niego menadżerowie Realu Madryt i Bayernu Monachium.

Niestety w tym samym roku z zespołu odeszli: Adam Zejer i Jarosław Bako (wyjechali do Turcji), Janusz Kudyba (do Szwecji), rok później Andrzej Wójcik, w kolejnym Zbigniew Szewczyk i mistrzowska drużyna przestała praktycznie istnieć. Szkoda, bo przy utrzymaniu składu lubinianie jeszcze parę lat mogli rządzić na krajowych boiskach.

Po kilku słabszych sezonach Zagłębie pod wodzą Wiesława Wojny zajęło w 1995 r. czwarte miejsce w lidze, które dało prawo gry w Pucharze UEFA.

■ Baraże z Górnikiem

W kolejnych latach sukcesów było jak na lekarstwo, zaledwie dwa piąte miejsca w I lidze. Po 14 sezonach nieprzerwanej gry w najwyższej klasie rozgrywkowej (takim bilansem mogła się wtedy poszczycić jeszcze tylko warszawska Legia i zabrzański Górnik), Zagłębie musiało w 2003 r. pożegnać się z piłkarską ekstraklasą. Stało się to po kolejnych spotkaniach barażowych z Górnikiem Łęczna.

– Pierwszy mecz przegraliśmy 1:0 i uznaliśmy to za niezły wynik w kontekście rewanżu w Lubinie – opowiada. – Drugi pojedynek zaczął się zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Po 20 minutach Arkadiusz Klimek zdobył bramkę i kolejne wydawały się kwestią czasu. Niestety Paweł Bugała z Górnika wykorzystał błąd naszych obrońców i doprowadził do remisu. Po przerwie nasi piłkarze rzucili się do huraganowych ataków, ale nie potrafili pokonać bramkarza gości Macieja Mielcarza. Wynik ustalił Bugała i degradacja stała się faktem.

■ Powrót do elity

Pod wodzą Drażena Beska Zagłębie po roku

wróciło do ekstraklasy, a w 2005 r. pierwszy raz awansowało do finału Pucharu Polski.

– Rywalem był Groclin Grodzisk Wielkopolski – przypomina pamiętne chwile. – W pierwszym meczu w Grodzisku zdecydowanie lepszy był zespół rywala i zasłużenie wygrał 2:0. W rewanżu, przy nieustannym dopingu kibiców, których wielu stało nawet na schodach, jedynego gola zdobył Maciej Iwański, a doskonale okazje zmarnowali m.in. Wojciech Łobodziński i Łukasz Piszczek.

W 2006 r., pod wodzą Franciszka Smudy, Zagłębie wywalczyło brązowy medal mistrzostw Polski, a rok później, już z Czesławem Michniewiczem w roli trenera, złoty.

– O wszystkim decydował ostatni mecz z Legią Warszawa. Pojechaliśmy do stolicy jako lider tabeli, mając jeden punkt przewagi nad drugim GKS Bełchatów. Musieliśmy wygrać na Łazienkowskiej (GKS pokonał w tej kolejce Pogoń Szczecin), co nigdy wcześniej Zagłębiu się nie udało. Mecz doskonale pamiętam. Piotr Włodarczyk bardzo szybko zdobył gola dla Legii, a ja z kibicami z obawą śledziłem wydarzenia na murawie przez następne kilkanaście minut (z Lubina na mecz przyjechały 23 autobusy z kibicami). Nadzieje przywrócił Manuel Arboleda, strzelając w ostatniej minucie pierwszej połowy wyrównującą bramkę. W drugiej części zwycięskiego gola zdobył Michał Stasiak i Zagłębie po raz drugi w historii zostało mistrzem Polski. Nocowaliśmy w Warszawie, następnego dnia razem z piłkarzami zwiedziliśmy warszawskie Łazienki. Potem był triumfalny powrót do Lubina i przejazd otwartym autobusem ze stadionu na błonia przy Wzgórzu Zamkowym, gdzie z tysiącami kibiców fetowaliśmy sukces. To były niezapomniane chwile – mówi, nie ukrywając wzruszenia.

■ Karetką na mecz

Zbigniew Gromek przez 43 lata nie opuścił ani jednego spotkania Zagłębia i o mały włos nie stracił życia na stadionie. 27 listopada 2009 r. lubinianie rozgrywali mecz ligowy z Lechem Poznań.

– Kilka dni wcześniej skończyłem 71 lat i ucieszyłem się, gdy na stadionie zobaczyłem baner z napisem „100 lat Rokson”. Schodziłem po schodkach z trybuny, potknąłem się i poleciałem głową w dół z wysokości trzech metrów na betonowe podłoże. Nie zauważyłem, że akurat w tym

miejscu zdemontowano bariery ochronne na czas remontu podestu dla osób niepełnosprawnych. Przed ligowym spotkaniem wyrwać na pokrycie pieczono jedynie prowizorycznie taśmą. Dopiero w szpitalu, gdy odzyskałem przytomność, usłyszałem, że Zagłębie przegrało 0:1.

Wypadek odbił się szerokim echem w światku piłkarskim i ogólnopolskich mediach. Piłkarze Zagłębia w geście solidarności z „Roksonem” przeprowadzili zbiórkę pieniężną na pokrycie kosztów leczenia i rehabilitacji. W następny weekend drużyna Zagłębia rozgrywała kolejny mecz w Lubinie, z Legią Warszawa.

– Błagałem lekarza, by dał mi przepustkę na mecz, ale nie chciał się zgodzić. Przekonały go dopiero pielęgniarki, mówiąc, że jestem zderminowany i gotowy wypisać się na własną prośbę. To prawda, tak zamierzałem zrobić. Nawet karetka zawiozła mnie na stadion i przywiozła z powrotem do szpitala – opowiada historię sprzed kilku lat.

■ Nawalka był perfekcjonistą

Przez minione 43 lata Zbigniew Gromek był świadkiem każdego wydarzenia, jakie miało miejsce na trzech stadionach Zagłębia. Na małym, górniczym stadionie oglądał awanse i spadki do i z II ligi, pierwszy mecz w ekstraklasie, pierwsze bramki i zwycięstwa na stadionie GOS, przy budowie którego przepracował społecznie setki godzin. Pamięta najwyższe w historii zwycięstwo nad Śląskiem Wrocław (7:0 w 1992 r.) po hat-tricku Daniela Dylusia i golach Dariusza Michaliszyna, Roberta Stachurskiego oraz Lesława Grecha, pierwszy mecz przy sztucznym oświetleniu, wygrany 2:0 z ŁKS Łódź, niestety w rozgrywkach II ligi. Był naoczny obserwator obu mistrzowskich triumfów.

– Ze wszystkimi piłkarzami byłem po imieniu – nie kryje dumy. – Zagłębie szkolili znani i uznani trenerzy. Sitko, Świerk, Różański, Smuda, Andrzej Strejla, Mirosław Jabłoński, Andrzej Szarmach, Stefan Majewski, Drazen Besek, Dariusz Fornalak, Orest Lenczyk czy Adam Nawalka, obecny selekcjoner narodowej reprezentacji. Jemu w Lubinie nie udało się osiągnąć sukcesu, choć był perfekcjonistą. Zawsze musiał mieć wszystko zaplanowane i przygotowane na ostatni guzik. Nieraz w dniu meczu już o czwartej rano musiałem polewać boisko wodą, bo jego zdaniem było zbyt twarde. ■

Pierwszego wyciągnęliśmy elektryka, potem dotarliśmy do pomocnika - też był cały, bez żadnych urazów. Na moje pytanie, jak się czuje, odpowiedział, że dobrze. „Będziesz szedł sam?” - zapytałem. „Będę” - przytaknął. A lekarz Roland Szczepaniak do mnie: „Frenek, idź koło niego, bo zaraz zemdleje”. Faktycznie, po pięciu krokach... fajt, osunął się.

*Franciszek Kapral,
spawacz w PBKR
Bytom i w ZG Konrad,
górnicy ratownik,
Pracował w latach
1974-2002*



Ochotnik spod Maltańskiego Krzyża

Gdy w 1974 roku kończyłem zawodówkę w Złotoryi, mój starszy brat Janek już od ośmiu lat pracował na „Konradzie”, jako ślusarz pod ziemią. To że po szkole pójść do kopalni, było dla mnie oczywiste. Z Nowej Wsi Grodziskiej, gdzie się urodziłem i mieszkalem, wielu trafiało do górnictwa, bo i pracę mieli pewną i dobre zarobki. Z mojej wioski pochodzi m.in. Edward Poznar, późniejszy dyrektor Zakładów Górniczych Konrad.

■ Trzeci stopień zagrożenia

Przyjęli mnie do Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń Rud Bytom, które prowadziło inwestycje na „Konradzie”. Dostałem angaż ślusarza, ale już po pół roku wysłano mnie na kurs spawaczy. Nie skończyło się na tym jednym kursie, korzystałem

z każdej okazji, żeby się podszkolić. Zrobiłem uprawnienia na spawanie gazowe i elektryczne, na rurociągi wysokiego ciśnienia, na blachy grube - praktycznie na wszystkie roboty spawalnicze na dole. Z czasem nawet na spawanie podwodne, bo w kopalni panowało zagrożenie wodne trzeciego stopnia. Taka umiejętność mogła być mi też przydatna jako ratownikowi górniczemu, ale na szczęście nigdy nie musiałem z niej korzystać.

Niestety dramatyczne skutki zagrożenia wodnego na „Konradzie” dotknęły rodzinę mojej żony. Bogusia miała zaledwie trzy latka, gdy jej ojciec Stanisław Ochońko, górnik strzałowy w Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń Rud Oddział Lubin, 17 lipca 1961 roku, po raz ostatni zjechał pod ziemię. Zginął w przodku, na poziomie 315 m, gdzie pra-



W 1986 roku Franciszek Krapal otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi.

cował z trzema kolegami. Doszło tam do zawału, w jego wyniku ogromne masy wody wdarły się do kopalni, częściowo ją zalewając aż do poziomu 240 m. Kopalnię odtopiono po półtora miesiąca, a zwłoki trzech górników, w tym ojca żony, wydobyto dopiero po trzech miesiącach. Tylko jeden z górników ocalał, bo wcześniej poszedł do komory.

■ Ja na „enie”, brat na „esie”

PBKR Bytom drążyło chodniki z poziomu 630 m do 830. Mój oddział mechaniczny zajmował się m.in. naprawami i remontami maszyn a także układaniem rurociągów. Gdy w 1980 roku przedsiębiorstwo zakończyło inwestycję na „Konradzie”, mogłem przejść z całą firmą do nowego zagłębia, ale kierownik Henryk Łebiak z ZG Konrad skape-

rował mnie do swojego oddziału M-7, proponując lepsze pieniądze, niż miałem do tej pory. Kopalnia potrzebowała ludzi, bo na poziomie 830 zaczęto właśnie budowę nowej komory pomp głównego odwadniania. Montowaliśmy pompy, uzbrajaliśmy chodniki i inne wyrobiska, rozdzielnie, potem elektrycy to wszystko podłączali.

Pracowałem głównie na tzw. esie - tak popularnie mówiło się o południowej części kopalni, oznaczonej symbolem S, a brat - na enie, czyli na północy (N). Komór remontowych nie było na dole, jedynie głównego odwadniania i transformatorów. My mieliśmy tylko małe komórki, gdzie mieściły się szafki z narzędziami. Naprawy wykonywaliśmy bezpośrednio przy maszynach i urządzeniach, rurociągi też się spawało w chodnikach, tam gdzie były układane. Jedynie przy grubszych robotach, dodatkowo puszczaliśmy z rurociągu powietrze, by wywiać trujące opary. Z wentylacją nie było problemu, tym bardziej że na dole nie używano spalinowych maszyn (poza jedną kolejką), wszystkie urządzenia pracowały na sprężone powietrze.

Moja praca polegała przeważnie na spawaniu rurociągów. Jedną z tych najtrudniejszych było układanie wodnej magistrali z poziomu 830 na 630, do góry po upadzie. Po zespawaniu każdego odcinka trzeba było rucugami (ręczne wciągarki łańcuchowe) podnosić je w górę, potem solidnie przymocować blachami do ociosów i kotwami do stropu, bo taki 400 milimetrowy rurociąg wypchniony wodą to ogromny ciężar - musiał być porządnie zabezpieczony przed obłuzowaniem się. Mniej więcej co sto metrów montowaliśmy w rurociągu zwrotne kłapy bezpieczeństwa. Były niezbędne, bo jeśli doszłoby do zaniku prądu, pompy przerwałyby pracę, a napór cofającej się wody mógłby zerwać sieć w dolnym odcinku. Natomiast samoczynnie zamykające się kłapy sprawiały, że ciśnienie równomiernie rozkładało się na całej długości nitki.

Przez cały okres zatrudnienia uczyłem się, podnosiłem kwalifikacje - na kursy jeździłem nawet do Warszawy, odwiedzałem różne targi techniki, ponieważ interesowałem się nowinkami w swoim fachu. Przełożeni doceniali moje zaangażowanie, bo mimo zawodowego wykształcenia, przyznano mi grupę szaszerogowania przynależną technikom. Miałem smykałkę do tej roboty; gdy napotykałem na jakieś przeszkody, to zamiast narzekać, szukałem rozwiązania. Na przykład poważny kłó-

pot sprawiało nam opuszczanie dużych i długich elementów po upadkowej. Trzeba było nieźle manewrować i się namęczyć, żeby te duże elementy (np. do obudowy pompowni) jakoś się przecisnęły. Zastosowałem parę trików technicznych i przy pomocy kołowrotów udało się mi ten transport upadową po torowisku usprawnić. Byłem zadowolony, że mój pomysł został wdrożony i uznany za wniosek racjonalizatorski, tym bardziej, że poszło za tym wynagrodzenie.

■ Wytrzymałem 17 lat

W 1985 roku znajomy sztygar Stanisław Gorzkowicz (późniejszy kierownik zmianowy w Okręgowej Stacji Ratownictwa Górniczego w Sobinie) zaproponował, bym wstąpił do drużyny ratowników przy „Konradzie”. Zgodziłem się prawie od razu, może dlatego że mój brat Janek też był ratownikiem - mechanikiem aparatury w kopalnianej stacji. Pomyślnie przeszedłem badania lekarskie i różne testy: sprawnościowe, psychologiczne, psychotechniczne, a także ukończyłem kurs. I tak zaczął się mój 17-letni okres w służbie ratowniczej. Wytrzymałem, choć parokrotnie chciałem rezygnować, po tym jak stykałem się ze śmiercią. Na przykład wtedy, 25 stycznia 1990 roku, w ZG Lubin.

W tym czasie byłem na tygodniowym ostrym dyżurze w Okręgowej Stacji Ratownictwa Górniczego w Sobinie. Do dziś dokładnie pamiętam cały przebieg akcji, bo była moją pierwszą, tak dramatyczną. Godzina trzecia w nocy. Alarm! Dyspozytor ogłosił akcję, zerwaliśmy się z łóżek i od razu do bojowego wozu-autobusu. Jak zwykle - jedni biegli po schodach, inni jechdźali po rurze - jest na to 60 sekund. W wozie dowiadujemy się, co to za akcja i dokąd jedziemy (w tym okresie obsługiwali-

śmy kombinat i zagłębie turowskie). Od rodzaju akcji zależy, jaki sprzęt trzeba zabrać, do pożaru czy do zawału - wykaz znajduje się na tabliczce przy siedzeniu. Dopiero wtedy w pośpiechu ubieraliśmy się - z indywidualnych zasobników można również pobrać potrzebną bieliznę. Na miejscu z luków autobusu każdy wziął swój niezbędny do akcji sprzęt. Trzy pięcioosobowe zastępy ustawiły się w szeregu - w skład drużyny wchodzi też kierownik zmiany (podczas tej akcji był nim Henryk Radek), lekarz i mechanik aparatury. Zastępowi sprawdzają, czy wszyscy mają odpowiednie wyposażenie. Tak wygląda początek każdej akcji.

■ Jasiu, nie dawaj się!

Zjechaliśmy. Zawał na krzyżówce - wraz z ładowarką zasypało trzech górników: operatora, jego pomocnika i elektryka. Byłem w pierwszym zastępie, więc to my zaczęliśmy akcję, ręcznie przebijając skałę. Pierwszego wyciągnęliśmy elektry-



Na zabawie barbórkowej w Kopalni Gipsu i Anhydrytu Nowy Łąd w 1997 roku. Pan Franciszek pierwszy z prawej, obok żona, pani Bogusława - pracowała w złotoryjskiej spółce Vitbis.

ka - zdążył schować się pod maszyną i nic się mu nie stało, potem dotarliśmy do pomocnika - też był cały, bez żadnych urazów. Na moje pytanie, jak się czuje, odpowiedział, że dobrze. „Będziesz szedł sam?” - zapytałem. „Będę” - przytaknął. A lekarz Roland Szczepaniak do mnie: „Franek, idź koło



*Uroczystość wręczenia szpady górniczych
- prawdopodobnie 2001 rok.
Franciszek Kapral pierwszy z prawej.*

niego, bo zaraz zemdleje". Faktycznie, po pięciu krokach... fajt, osunął się. Położyliśmy go na noszach, a górnicy ponieśli dalej, pod szyb.

Szukamy ostatniego. Po pięciu godzinach akcji byliśmy umordowani, szefowie rozważali, czy nas nie podmienić. Z drugiej strony - to oznaczałoby zwłokę, a tu liczy się czas, więc ciągnęliśmy dalej. Przekopywaliśmy się ciasnym tunelem, ale skała co rusz się osuwała z góry, zasypując tunel, i cała robota na nic. Więc przywieźli nam żerdzie wiertnicze, pociąłem je palnikiem acetylenowym, obudowaliśmy nimi tunel, zabezpieczyliśmy się specjalnymi gumowymi poduszkami (utrzymują ciężar do 200 ton) i czołgaliśmy się metr po metrze. W końcu z zasypałym udało się nawiązać kontakt głosowy i to zawsze mobilizuje, dodaje sił, by przeć do przodu.

Żył, siedział uwięziony w zgniecionej kabynie. Dotarł do niego lekarz i dał zastrzyk na wzmocnienie. Wydobyliśmy go z kabiny, nie miał żadnych obrażeń - jedynie później, jak przepychaliśmy go przez tunel, podając nad sobą, mógł pocierać się o skały, bo jego ubranie było w strzępach. Cały czas celowo wciągaliśmy go w rozmowę, pytaliśmy skąd jest - powiedział, że z Chocianowa. Zagadywaliśmy o rodzinę, o dzieci - coś tam odpowiadał. Gdy położyliśmy go na nosze, zaczął gwałtownie łapać powietrze. Lekarz krzyczał: „Jasiek nie dawaj się! Nie dawaj się!”. Niestety, mimo reanimacji - zmarł. Ponoć przyczyną śmierci był zator.

■ Namierzaliśmy „glonami”

Wróciłem wtedy do domu z postanowieniem, że odchodzę z ratownictwa, mówiłem żonie, że

nie chcę więcej tego wszystkiego przeżywać. Jak się kogoś uratowało, to człowiek był podbudowany, że pomógł. A jeżeli nie udało się wyciągnąć żywego, to strasznie podłamywało. Ale czas mijał, w głowie wszystko się na nowo poukładało i szło się do następnej akcji. Tłumaczyłem sobie, że przecież nikt mnie do ratownictwa nie namawiał, na siłę nie ciągnął, sam się zdecydowałem, więc muszę wytrwać. Za tę akcję na „Lubinie” uhonorowano mnie Medalem Centralnej Stacji Ratownictwa Górniczego w Bytomiu.

Podobny kryzys przeżyłem parę lat później, po akcji na Rudnej Północnej.

Gdy na poziomie 1050 m strzałowi ładowali przodek, runęły ociosy. Zasypanych namierzaliśmy, posługując się „glonami” - systemem lokalizacyjnym GLON-LOP (Górnicy Lokacyjny Osobisty Nadajnik-Lokacyjny Odbiornik Pomiarowy). Każdy górnik ma w lampie urządzenie nadawcze, emitujące określoną częstotliwość. Tę częstotliwość wpisywaliśmy do naszych odbiorników i namierzaliśmy zasypanych przy pomocy anten. Niestety, tak ich przywaliło, że nie mieli żadnych szans na przeżycie. Gdy odkopaliśmy dwóch pierwszych, zaczęło trząść, musieliśmy się wycofać, wróciliśmy, kiedy się uspokoiło. Ale tego trzeciego nie mogliśmy wyciągnąć, bo miał zablokowane nogi. Krzyknąłem do górników: „Macie olej?”. „Mamy!”. „To dawajcie!”. Właliśmy olej do butów i dopiero wtedy nogi się uwolniły. To także było ciężkie przeżycie; bezwładne ciało trudno włożyć do zwykłego plastikowego worka - wydawało się mi to strasznie niehumanitarne. Teraz worki wyposażone są w błyskawiczne zamki. Niestety, bywało i tak - nie pamiętam już w której kopalni - że szczątki zbieraliśmy w rękawicach gumowych i w maskach.

■ Awans na zastępowego

W ciągu 17 lat w ratownictwie brałem udział chyba w 15 akcjach (dokładnie nie liczyłem), najważniejsze w pozawałowych. Najwięcej - na szczęście - było takich, że po zjeździe niewiele mieliśmy do roboty, bo górnicy zdążyli sami pomóc kolegom.

Po ośmiu latach awansowałem na zastępowego, wpierw jednak musiałem przejść pomyślnie testy psychologiczne, sprawdzające czy się nadaje do kierowania ludźmi w skrajnych, stresowych sytuacjach. Chyba się sprawdziłem w tej roli, ponieważ od kolegów nieraz usłyszałem: „Franek, z tobą dobrze jeździć na akcje”. Mówili, że ze mną

czują się bezpiecznie, może dlatego, że miałem z nimi dobry kontakt, potrafiłem panować nad emocjami swoimi i innych. Szefowie też raczej nie mieli zastrzeżeń; a na pewno coś by do mnie dotarło, ponieważ wszystkie rozmowy w trakcie akcji są nagrywane - później analizuje się ich przebieg. A ja nigdy nie usłyszałem krytycznych uwag. Muszę dodać, że nasza jednostka była świetnie



Pan Franciszek z synem Tomaszem, pracownikiem ZG Rudna - sfotografowali się podczas domowej imprezy barbórkowej.

wyposażona, np. jako pierwsi ratownicy w kraju mieliśmy do dyspozycji termowizyjne kamery do poszukiwania ludzi.

Ratownictwu przysłużyłem się także w inny sposób, pomagając w instalacji i uruchomieniu komory dekompresyjnej. Wezwano mnie do tych prac z „Konrada”, gdyż pojawił się problem z mon-

tażem instalacji zasilającej w tlen i powietrze. Inni spawacze nie radzili sobie z połączeniem miedzi z nierdzewką. Ja miałem już sporą praktykę, uczyli mnie starszy spawacze (Szumilas z Bolesławca

dział Lubichów (tam pracowałem przed emeryturą) byłem także Zakładowym Społecznym Inspektorem Pracy - wybierano mnie przez dwie kadencje. Interweniowałem, gdy pracownicy po-

trzebowali pomocy przy dochodzeniu swoich praw po wypadkach i urazach albo gdy skarżyli się na nieodpowiedniej jakości środki ochronne, takie jak rękawice, okulary, odzież, obuwie. Nieraz w tych sprawach trzeba było negocjować z dyrektorami. Nigdy nie siedłem na udry, mimo że w razie stwierdzonych nieprawidłowości mogłem nawet zamknąć oddział. Wychodziłem jednak z założenia, że ptak nie kła własnego gniazda, poza tym zamknięty oddział oznaczał brak wydobycia, a w konsekwencji straty w zarobkach. Ale też nie przymykałem oczu na uchybienia i lekceważenie górniczego prawa. Zobaczyłem kiedyś, jak górnicy w niezabezpieczonym obudową przodka biorą się do wiercenia. Zwróciłem im uwagę, a oni, że szkoda im na to czasu, bo trzeba jak najszybciej strzelić. To ja za telefon i do sztygara: zażądałem, żeby ich wycofał. W rezultacie ci z przodka zrobili wszystko jak należy, ale musieli zostać dłużej w pracy i przez to narazili się strzałowym, bo opóźnili im robotę. Niekiedy w podobnych przypadkach dochodziło do spięć, zwykle ze sztygarami, ale wszyscy widzieli, że działałem na ich ko-

rzyść i wybrali mnie na następną kadencję.

■ Ratownik w Atlasie

Do ostatka, tzn. do czasu rozpoczęcia zata-
piania kopalni, byłem zatrudniony na „Konradzie”. Gdy redukowano załogę, mogłem wybierać: przejść do ZG Rudna albo do kopalni Lubichów, wydzielonej z ZG Konrad. W „Rudnej” propono-



Za ofiarność w akcji ratowniczej w ZG Lubin Franciszek Kapral otrzymał Medal CSRG w Bytomiu, poświadczony dyplomem.

i Szynkiewicz z Chojnowa), którzy znali różne zawodowe sztuczki. Udało się - podziękowano mi i nawet wypłacono jakąś sumkę. Komora z powodzeniem służyła nurkom do ćwiczeń i do ratowania zaczadzonych ludzi.

■ Nie siedłem na udry

W Kopalni Gipsu i Anhydrytu Nowy Łąd Od-

wali mi stanowisko dołowego kontrolera sprzętu spawalniczego, nawet byłem na wstępnych rozmowach. Ale na „Lubichowie”, gdzie wydobywano anhydryt, oferowano nie gorsze warunki płacowe, więc tu zostałem, bo miałem bliżej i tu wśród „samyh swoich” czułem się jak u siebie. Chociaż nowe zagłębie też nie było mi obce - jako ratownik poznałem wszystkie kopalnie podczas ćwiczeń i różnych akcji.

Moje związki z ratownictwem trwały aż do emerytury, do 2002 roku. Byłem wtedy już pracownikiem firmy „Atlas”, która przejęła kopalnię Lubichów. Atlas też musiał utrzymywać Kopalnię Stację Ratownictwa Górniczego - w tym czasie znajdowała się na kopalni anhydrytu Nowy Łąd, też należącej do „Atlasa”.

■ **Franeł, żyjesz?!**

Kiedy miałem przed sobą jeszcze wiele lat pracy, zazdrościłem kolegom przechodzącym na emeryturę, ale gdy przyszedł ten moment, wahaniem się, czy jeszcze nie popracować dłużej. W końcu doszedłem do wniosku, że lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Bo choć w kopalni bezpiecznie przepracowałem 28 lat, to jednak dwa razy znalazłem się w poważnych opałach.

Odzyskiwaliśmy kiedyś stojaki typu Valent. Zrobilem swoje, wypalałem palnikiem obudowę, odszedłem nieco dalej, a po chwili nie ma już miejsca, w którym pracowałem - wszystko zasypało. Innym razem na poziomie 630 z kolegą odzyskiwaliśmy kapy (metalowe ceowniki o długości ok. czterech metrów i zakotwione co półtora metra), które służyły za tymczasową obudowę - po ich usunięciu przed rozpoczęciem eksploatacji ściany, stawiało się obudowę typu Valent. Siedziałem pod kasztą i wypalałem kapy, gdy niespodziewanie nastąpił obwał. Zostałem odcięty, nikogo nie było w pobliżu, ale po jakimś czasie usłyszałem z oddali: „Franeł, żyjesz?!”. „Żyję!” - odrzyczałem. Przybiegli górnicy i się do mnie dokopali. Nic mi się nie stało, byłem bezpieczny pod kasztą. Trochę strachu się tylko najadłem, palnik poszedł na złom i kawałek węży zniszczyły skały.

■ **Piliśmy wodę z ociosów**

Ratownicy co roku przechodzili kompleksowe badanie zdrowia i testy sprawnościowe - jednym z nich był steptest. Każdy w ciągu 5 min musiał w rytmie taktometru 150 razy wchodzić i schodzić ze skrzyni o wysokości 52 cm. Poza tym 5-6 razy

w roku podczas tygodniowych ostrych dyżurów w Sobinie ćwiczyliśmy w pełnym rynsztunku czołganie w niskich zadymionych pokładach, przeciskanie przez szczeliny, przebywanie w ciepłej komorze (ok. 50 st. C) itp. Zawsze byłem sprawny i ruchowo aktywny, niestety teraz jestem inwalidą pierwszej grupy; po ubiegłorocznej operacji serca, zadyszka łapie mnie już po przejściu 50 metrów. Cały czas muszę się rehabilitować. Tam, na rehabilitacji, spotykam wielu kolegów, wspominamy i w tych rozmowach stale przebija się wątek przedwczesnego zamknięcia kopalni.

Do tej pory nie mogę przeboleć, że tak łatwo przyszła władzom w Warszawie likwidacja „Konrada”. Ten pośpiech był niezrozumiały dla większości pracowników; wiecowailiśmy, ale nic to nie dało. Słyszeliśmy tylko: Likwidować! Likwidować! Gdyby przetrzymali chwilowy dołek cenowy na miedź, kopalnia mogłaby jeszcze hulać co najmniej 10-15 lat, bo przecież ściany były przygotowane do wydobywania. Przez tę pośpieszną likwidację niepotrzebnie zatruto podziemne wody, które bez uzdatniania dostarczano do okolicznych wiosek. Ta woda była tak dobra, że na dole piliśmy ją bezpośrednio z rur drenażowych wbitych w ociosy. Często też w plastikowych butelkach przynosiłem wodę do domu, bo smakowała lepiej niż ta z kranu.

■ **Miedź tu wróci**

Jak zaczęli „Konrad” zatapiać, woda zanieczyszczała się pozostałościami po kopalni, m.in. olejem, który został w przekładniach maszyn i ługiem z rozdzielni. Widziałem to wszystko porzucone, gdy przysyłano mnie z „Lubichowa”, by wymontować potrzebne nam części z dołowych urządzeń czy elementów obudowy. Do tego doszły nieczystości po ludziach - w szczytowym okresie pracowało tam ok. 5 tys. osób, a toalety były tylko w stałych punktach, takich jak pompownie i rozdzielnie.

Jestem przekonany, że Miedź tu jeszcze wróci, prędzej czy później, ale wróci. Na razie nasi synowie muszą szukać pracy w nowym zagłębiu. Mój najstarszy - Tomek - pracował parę lat ze mną na „Lubichowie”, potem już jako doświadczony mechanik dostał się do ZG Rudna. O przyjęcie do kopalni bezskutecznie starał się też najmłodszy - Bartosz. Niestety nie miał tyle szczęścia co Tomek i wyjechał do Niemiec. Średni syn Mateusz znalazł pracę poza górnictwem. ■

Bardziej bezpieczną pracę pod ziemią uczyniły także maszyny - obrywarki, służące do obrywania skał, po ostrzeleniu przodka. Wcześniej robili to górnicy lekkimi łomami nazywanymi obrywakami, co wiązało się z dużym zagrożeniem.

*Czesław Wrona,
kierownik oddziału
w Zakładach
Górnich Lubin.
Pracował w latach
1977-2004*



Gdy tąpnęło, byłem na komorze

Od dziecka pasjonował się motoryzacją i nie wyobrażał sobie innej szkoły, niż samochodówka. Po ukończeniu podstawówki z Krzelowa trafił do Legnicy, gdzie zaczął naukę w Zasadniczej Szkole Samochodowej. Po jej ukończeniu poszedł do czteroletniego Pedagogicznego Studium Technicznego.

■ Byłem pod wrażeniem

– Pewnego dnia do szkoły przyjechał pracownik działu zatrudnienia Zakładów Górniczych Lubin i namawiał do pracy w kopalni – tak pan Czesław wspomina swój pierwszy kontakt z górnictwem. – Mówił o korzyściach, m.in. o dobrych zarobkach i nieodległej perspektywie otrzymania mieszkania. Chętnym zaproponował wycieczkę do kopalni. Pojechało nas kilkunastu, zwiedziliśmy oddziały na powierzchni i obejrzelśmy maszyny górnicze. Byłem pod wrażeniem ogromnych inwestycji i maszyn, w rezultacie podpisałem wstępną umowę. Z pracownikiem, który przyjechał do szkoły, spotkałem się kilka lat póź-

niej na Rejonie Zachodnim ZG Lubin. Poznałem go od razu, nazywał się Ryszard Dylewicz, pracował na oddziale taśmowym. Wspominałem mu o jego wizycie w szkole, ale oczywiście mnie nie pamiętał.

■ Budziki w nagrodę

Miesiąc po ukończeniu szkoły, dokładnie 5 lipca 1977 roku, pan Czesław zgłosił się do pracy w ZG Lubin. Zaczął na Oddziale Remontowym MD-10, na Lubinie Głównym, którego kierownikiem był Czesław Bożek.

Niespełna miesiąc później, doszło do powodzi w Legnicy. Pan Czesław Wrona, emocjonalnie mocno związany z tym miastem, włączył się w organizację pomocy powodziarzom. Z dumą podkreśla, że załoga kopalni jako jedna z pierwszych zadeklarowała swoje wsparcie poszkodowanym legniczanom.

W 1978 roku odbywał się bieg Szlakiem Polskiej Miedzi, popularna w tamtym czasie forma

rywalizacji kombinackich zakładów. Pan Czesław, zgłosił się, bo lubił biegać, wcześniej startował w wielu zawodach amatorskich i miał niezłe rezultaty.

– Znalazłem się w 25-osobowej reprezentacji ZG Lubin – mówi – wspólnie m.in. z Jerzym Kor-

skonił swoje umiejętności na oddziale remontowym:

– Pracowałem na różnych stanowiskach, przez długi czas przy remontach skrzyń biegów, wspólnie z Kazimierzem Szczerbińskim i Zdzisławem Tynkowskim, później z Bogdanem Wieczorkiem



Rok 1975. Przed internatem ZSS przy ul. Waryńskiego 7 (obecnie Marszałkowska) w Legnicy. Drugi z prawej Czesław Wrona.

czakiem (później był u mnie operatorem, jeździł ładowarkami ŁK-1 i ŁK-2), Bogdanem Grygorciewiczem oraz Edwardem Wolakiem. Trenował nas Michał Kujawiakowski. Nasz start zakończył się sukcesem, zajęliśmy pierwsze miejsce. W nagrodę otrzymaliśmy... budziki. Nastawiliśmy je wszyscy na tę samą godzinę budzenia i dzwoniące wzniesiliśmy do góry. Śmiechu było co niemiara.

■ Wiertnice na gąsienicach

Przez kolejne cztery lata Czesław Wrona do-

naprawiałem maszyny wierząco-kotwiące. W 1982 roku zbudowaliśmy na dole rozdzielnię części, w której przepracowałem następne trzy lata.

Remontując maszyny górnicze, mógł obserwować, jak się zmieniają, jak dokonuje się postęp techniczny. Zanim przyszedł do kopalni, przodki wiercono używając wiertarek ręcznych typu WUP, obsługiwanych przez dwuosobową brygadę. Potem nastały maszyny samojezdne. Na początku pojawiła się wiertnica Serpent MS firmy Joy. Dzięki niej wydłużono głębokość otworów

strzałowych z 1,4 m do 3,2 m. Niestety z powodu bardzo niskiego podwozia miały duże problemy z dojazdem na przodki, brakowało także do nich części zamiennych. W latach 70. ubiegłego wieku zakupiono w Związku Radzieckim wiertnice SBU-2, na gąsienicowych podwoziach, o napędzie pneumatycznym, co mocno ograniczało możliwość ich przemieszczania między przodkami. Potem

odłankami skalnymi, a dzięki zamianie napędu pneumatycznego na hydrauliczny wyeliminowano hałas, który uszkadzał operatorom słuch. Potem do wiercenia otworów strzałowych stosowano wiertnice samojezdne z napędem spalinowym. Wiertarki hydrauliczne, uruchamiane przez silniki elektryczne, umieszczone na prowadnicach wysięgników tych maszyn.



Reprezentacja ZG Lubin liczyła 25 osób. Pierwszy rząd od dołu: czwarty od lewej trener Michał Kujawiakowski, obok Czesław Wrona. Trzeci z prawej stoi Bogdan Grygorcewicz, szósty z prawej Jerzy Korczak, siódmy od lewej Edward Wolak.

podjęto próby budowy własnych maszyn wierzących, ale nie wszystkie się sprawdzały. Na Lubinie Wschodnim testowano wiertnicę GSW na podwoziu spychacza z urządzeniem wierzącym SBU oraz pierwsze typy wiertnic SWW na podwoziu walca drogowego. Ogromnym skokiem technologicznym było skonstruowanie przez Zakład Doświadczalny KGHM samojezdnych wozów wierzących typu SWW-2, które miały dwa wysięgniki z wiertarkami pneumatycznymi, zabudowane na podwoziu ładowarki łyżkowej ŁK-1.

– Kolejny przełom technologiczny nastąpił na początku lat 90. wraz z zakupem wiertnic hydraulicznych firmy Boart, dużo bardziej wydajnych, bezpiecznych i gwarantujących lepszy komfort obsługi. Pierwsze maszyny testowaliśmy na naszym oddziale – wspomina pan Czesław. – Były wyposażone w daszki zabezpieczające przed

■ Dopychali... kijem od szczotki

Bardzo zmieniły się także techniki robót strzałowych. Początkowo materiał wybuchowy dowożono pociągami na stację rozładową. Stamtąd górnicy musieli go taszczyć przez kilkaset metrów, do oddziałów wydobywczych i przodków. A same otwory ładowano ręcznie, stojąc na drabinach.

– Materiał w otworze dopychano tzw. nabiakiem. To było jedyne „urządzenie” stosowane w robotach strzałowych, które nigdy nie trafiło na nasz oddział remontowy, z tej prostej przyczyny, że było to... coś w rodzaju zwykłego kija od szczotki – dodaje z uśmiechem.

Wprowadzenie maszyn samojezdnych typu SWS zrewolucjonizowało cały ten proces. Z ich platform górnicy strzałowi wykonywali większość robót strzałowych. Pracę na przodku stała się bar-

dziej bezpieczna po wprowadzeniu maszyn do obrywania skał. Wcześniej robili to górnicy lekkimi łomami, co wiązało się z dużym zagrożeniem. Również ruchome składy materiałów wybuchowych, czyli odpowiednio zaprojektowane i przystosowane do przewozu środków strzałowych samojedźne maszyny typu „Kacper”, poprawiły bezpieczeństwo pracy. Pozwoliły bowiem na wyeliminowanie z dołu stałych składów materiałów wybuchowych.

urobku odbywała się przy pomocy ładowarki ŁK-2 i dwóch (dla zapewnienia ciągłości pracy) wozów odstawczych. Rolę punktu rozładawczego spełniały początkowo przenośniki zgrzebłowe „Śląsk”.

– Później pojawiły się kratownice. Większe kęsy, które nie mieściły się w otworach kraty, górnicy musieli rozbijać młotami. To była niezwykle ciężka praca i tzw. wąskie gardło spowalniające odstawę urobku. Roboty te próbowano



Pierwsza Karczma Piwna po przejściu na ZG Lubin Zachodni. Od lewej stoją: Włodzimierz Styś, Czesław Wrona, Mieczysław Bobiński (mistrz Polski amatorów w maratonie). Pierwszy z prawej Grzegorz Kłosiński ps. Napoleon.

■ TORO - technologiczny skok

Zmieniły się również maszyny i urządzenia stosowane do wybierania ostrzelanego urobku i jego transportu do punktów rozładawczych. Początkowo odbywało się to ładowarkami łapowymi na wozy odstawcze Expadump firmy Joy. Później wprowadzono ładowarki łapowe PNB-3k z napędem elektrycznym - produkcji radzieckiej i polskie wozy odstawcze CB-P. W latach 70. i 80. ub. stulecia ładowanie i odstawa

zmechanizować, początkowo przy pomocy kruszarek polowych WB-14, jednak ze względu na wysokie koszty, po pewnym czasie z nich zrezygnowano. Dopiero hydrauliczne młoty typu Ronxon rozwiązały problem – tłumaczy pan Wrona.

Skokiem technologicznym okazało się zastosowanie ładowarki TORO z łyżką o dużej pojemności, która wybierała urobek w przodku i bezpośrednio przewoziła na oddziały punkt rozładawczy. Później pojawiły się zmodyfikowa-

ne ładowarki łyżkowe ŁK-3 i LPK, także z dużymi łyżkami, odstawiające urobek z przodka na kratę.

– W 1986 r. przeniesiono mnie z Lubina Głównego na Szyb Zachodni, na Oddział MD-8, którego

kursowały na oddziałowy punkt rozładowczy. Natomiast ładowarki TORO, ŁK-3 i LPK bezpośrednio z przodka wiozły urobek na punkt rozładowczy.



Załoga Oddziału G-30M na majówce. Pierwszy rząd (od lewej): Czesław Wrona, Jan Bartosik, Mirosław Aleksandrowicz, Józef Rybizant, Andrzej Harych. Drugi rząd: Piotr Kowalski, Grzegorz Mamos, Czesław Uciniek, Roman Kułak, Włodzimierz Styś, Józef Pustelnik, Andrzej Dubicki, Bogdan Siuda, Jan Krajewski, spawacz Karyś.

kierownikiem był Jarosław Paduchowicz, a nadztygarem mechanicznym Zygmunt Prokop. Po reorganizacji oddziałów mechanicznych powstał oddział G-30M, podzielony na trzy komory A, B i C. Ja trafiłem na komorę A – opowiada o swojej drodze zawodowej. – Tutaj poznałem Ryszarda Kuca, który obsługiwał ładowarki TORO i już wówczas był uznanym przewodnikiem turystycznym. Nadal organizuje rajdy i spotkania, w których regularnie uczestniczę wraz z małżonką. Od wielu lat jest też prezesem naszej emeryckiej Karczmy Piwnej.

Gdy w 2004 r. pan Czesław odchodził na emeryturę, urobek odstawiano dwoma metodami. Ładowarki łyżkowe ŁK-1 i ŁK-2 wybierały rudę w przodku i ładowały ją na wozy odstawcze, a te

■ **Szczęście było po mojej stronie**

Po ponad siedmiu latach pracy zaproponowano mu szkolenie na kursie dla dozoru. Ukończył je i przeszedł do pracy jako dozorca na oddziale remontowym, w Rejonie Lubina Zachodniego. Potem awansował na sztygara zmianowego – kierownikiem oddziału był wówczas Grzegorz Kłosiński. Gdy dotychczasowy kierownik przeszedł na stanowisko nadsztygara mechanicznego, Czesław Wrona przejął po nim schedę i jako kierownik pracował ostatnie osiem lat przed przejściem na emeryturę. Pracował na poziomie 740, w komorze A obsługującej oddziały G-6 i G-7.

– Przez wszystkie lata pracy nie miałem ani jednego wypadku, ani też nie znalazłem się w sytuacji

zagrożenia życia lub zdrowia. Mnie szczęście górnicze nie opuszczało, ale to nie znaczy, że również moich współpracowników. Trzech z nich zginęło. Pierwszego Bogdana, mojego brygadzystę i operatora wiertnicy, przygniotła maszyna. Później, wskutek nieszczęśliwego splotu okoliczności, zginął Andrzej, z którym chodziłem do szkoły w Legnicy. Na Rejonie Zachodnim, podczas mojej zmiany, zginął mechanik, który usuwał awarię maszyny. Bardzo mocno przeżyłem również śmierć czterech górników na Oddziale G-6. W momencie tąpnięcia byłem na komorze. W tej akcji ratowniczej nie brałem bezpośrednio udziału, ale przygotowywałem ratownikom maszyny do prowadzenia działań – wspomina tragiczne zdarzenia.

W czasie, gdy Czesław Wrona zaczynał pracę, dyrektorem był Józef Szczerba, potem zastąpił go Kazimierz Ziaja, dziś - zdaniem pana Czesława - jedna z legend KGHM. Po nim kopalnię kierowali równie znakomici: Jerzy Markowski, Tadeusz Szląg, Ryszard Wdowiak, Marek Cypko, a gdy kończył pracę, dyrektorską pałeczkę przejął Krzysztof Tkaczuk. Żaden z nich nie został przyniesiony „w kapeluszu”, wszyscy przed objęciem stanowiska dyrektora przechodzili przez kolejne szczeble kariery zawodowej, jak choćby Krzysztof Tkaczuk. Zaczynał na Lubinie Zachodnim od funkcji sztygara na Oddziale G-6, potem został nadztygarem, kierownikiem robót górniczych i wreszcie dyrektorem technicznym.

■ Poznali się na potańcówce

W okresie nauki w Legnicy przez sześć lat pan Czesław mieszkał w internacie szkolnym. W 1975 roku dziewczęta z Liceum Medycznego w Środzie Śląskiej zaprosiły chłopców z „samochodówki” na zabawę w swojej szkole.

– Na tej potańcówce wpadła mi w oko dziewczyna o imieniu Hanna. Zatańczyliśmy kilka razy,

zaczęliśmy rozmawiać – opowiada o swojej rodzinie. – Spodobała mi się, a na dodatek okazało się, że pochodzi z Przyborowa, położonego niedaleko Krzelowa. Po ukończeniu szkoły wróciłem do Krzelowa, 6 stycznia 1979 roku wzięliśmy ślub. Do pracy do Lubina dojeżdżałem autobusem, popularnym „ogórkiem”. Jeszcze w Krzelowie przyszedł na świat nasz syn Tomasz. W 1981 roku otrzymałem z kopalni mieszkanie przy ulicy Modrzewiowej, na osiedlu Polne w Lubinie. Rok później urodziła się córka Agnieszka.



Czesław Wrona z żoną i wnukami: Leną, Aleksandrą i Piotrusiem.

Obecnie syn pracuje w Volkswagencie, a mieszka w Polkowicach Dolnych, ma dwójkę dzieci - Aleksandrę i Piotrusia. Córka mieszka w Smolcu koło Wrocławia, pracuje w jednym z wrocławskich banków. Mają córkę Lenkę.

– Mówią, że dzieci się kocha, a wnuki uwielbia i muszą przyznać, że to szczerza prawda. Jesteśmy z żoną zauróczeni naszymi wnukami. Z niecierpliwością czekamy na każdy ich przyjazd – zwierza się pan Czesław. – Ale nie nudzimy się. Mamy ładną działkę, na której spędzamy dużo czasu, a także regularnie jeździmy na rajdy i wycieczki organizowane przez Związek Zawodowy Emerytów i Rentistów ZG Lubin. ■

Na Lubinie Zachodnim Roman Kułak też szybko wyrobił sobie dobrą markę. Gdy kierownikiem robót został Krzysztof Tkaczuk, a z powodu kłopotów ze sprzętem nie udało mu się wyrobić planowanego wydobywania, zastosował ten sam manewr, co na Lubinie Wschodnim. Poszedł do Tkaczuka i zadeklarował: „Panie kierowniku, jutro na pewno oddam z zapasem”.

Roman Kułak, sztygar oddziałowy w Zakładach Górniczych Lubin. Pracował w latach 1967-2001



Blisko pół wieku na dole

W rodzinie uważali, że Romek odziedziczył talent muzyczny po swojej mamie. Ojciec nawet sprzedał krowę, by kupić synowi najlepszy z dostępnych w tamtych czasach akordeon Weltmeister. Równolegle z podstawówką Roman Kułak chodził do szkoły muzycznej w Jaworze. Brał udział w różnych wyjazdowych koncertach i kursach, i zawsze towarzyszył mu ojciec. Nie wiadomo jak potoczyłyby się losy Romka, gdyby nie nagła śmierć rodzica.

■ Zwerbowali do SOWI

– Tato miał zaledwie 47 lat, był kolejarzem. Któregoś razu pojechał wozem po drzewo do lasu i już nie wrócił. Następnego dnia odnaleziono go martwego – ponoć miał atak serca. Mama została wdową z czwórką dzieci, bo poza mną był jeszcze brat Stefan i dwie siostry Anna oraz Danuta. Ciężko jej było utrzymać rodzinę. – Byłem w siódmej

klasie, ale starałem się pomagać mamie, tak jak umiałem. Wstąpiłem do zespołu „Jaworzanka”, graliśmy na weselach, dawaliśmy koncerty i zarabione w ten sposób pieniądze oddawałem mamie – wspomina.

Po podstawówce Roman Kułak kontynuował naukę w Zasadniczej Szkole Samochodowej w Legnicy. Zamieszkał w internacie i otrzymał stypendium. Gdy kończył samochodówkę (1967 rok), przyjechała do szkoły delegacja z Kombinatoru Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lubinie, aby werbować pełnoletnich absolwentów do pracy w kopalni.

– Urodziłem się w marcu, więc spełniałem warunki, podobnie jak jeszcze 24 innych uczniów. Zaprośli nas wszystkich na Miedź – wraca pamięć do szkolnych lat. – Kiedy w sierpniu przyjechaliśmy do Lubina, zakwaterowano nas w hotelu D-10 na terenie dzisiejszego biura zarządu. Po badaniach lekarskich wszyscy zostaliśmy przyjęci do

Samodzielnego Oddziału Wykonawstwa Inwestycyjnego (SOWI). Część nowo przyjętych zakwaterowano w hotelach robotniczych w mieście, ale nie dla wszystkich starczyło miejsc. Ja wraz z pięcioma kolegami trafiłem do Ścinawy, na kwatery u pani Smelkowskiej, przy ulicy Rybnej. Do pracy dowoził nas zakładowy autobus.

■ Z kopalni na sianokosy

W tamtym okresie Samodzielny Oddział Wykonawstwa Inwestycyjnego prowadził prace wykończeniowe na szybach Lubin Wschodni i Lubin Zachodni. Romana Kułaka, m.in. z Mieczysławem Czekajem i Janem Pawlaczkiem skierowano na Szyb Zachodni, gdzie pracował przy zakładaniu instalacji elektrycznej. Po trzech miesiącach cała grupa pojechała na staż do Huty Niklu w Szklarach Dolnych koło Żąbkowic.

– Zostaliśmy odeśłani do huty, bo w tym czasie na kopalni nie było dla nas pracy. Po odbyciu stażu wróciliśmy do SOWI, na Lubin Wschodni. 1 lipca 1968 r. skierowano nas do Zakładu Przeróbki Mechanicznej ZG Lubin. Pracowaliśmy jako ślusarze w brygadzie remontowej Jana Bugajskiego przy remontach na młynowni, flotacji, rozdrabnialni i utrzymaniu ruchu. Wymienialiśmy wykładziny, flotki, koryta, naprawialiśmy praktycznie wszystko, co się psuło. Pamiętam, że w weekendy bardzo często jeździliśmy na czyny społeczne. Zbieraliśmy z pegerowskich pól kamienie, pomagaliśmy w sianokosach, żniwach i zbiorze ziemniaków. Choć było w tym dużo socjalistycznej propagandy i patosu – wyznaje pan Romek – mam z tego okresu miłe wspomnienia. Nie oszczędzaliśmy się w pracy, a na zakończenie wyjazdu bawiliśmy się na niedzielnych potarćówkach

■ Mieszkanie za 65 punktów

W 1969 r. Roman Kułak rozpoczął służbę wojskową w szkole podoficerskiej saperów w Nysie, po jej ukończeniu, już jako kapral, służył w jedno-

stce w Poznaniu, gdzie zajmował się szkoleniem rekrutów. Po rozstaniu z wojskiem w 1971 r. wrócił do pracy na kopalni.

– Krótko po powrocie pojechałem do Chocianowa, do wujka Stefana Kułaka. Spotkałem tam Irenę Zapietowską, którą znałem od dziecka, bo do Chocianowa przyjeżdżałem bardzo często. Wyrosła na ładną dziewczynę i... jeszcze tego samego roku we wrześniu wzięliśmy ślub, po czym zamieszkałem u niej w Chocianowie – przywołuje miłe wspomnienia.

W 1972 roku urodził im się pierwszy syn Roman, a cztery lata później drugi – Daniel. W mieszkaniu przy ulicy Lipowej było im bar-

Górnicy podczas czynu społecznego w PGR. Pierwszy z prawej Roman Kułak.



dzo ciasno, marzyli o własnym „M”, ale dopiero siedem lat później udało się, gdy dostali przydział na własne lokum w Lubinie.

– Było to wprowadzie malutkie M-2, w wieżowcu przy ulicy Wroniej, ale radości nie było końca – mówi pan Roman. – Mieszkanie otrzymałem za punkty, które przydzielano za staż, zaangażowanie w pracy, przynależność do związków zawodowych i do partii (wstąpiłem właśnie dla tych punktów). Miałem 65 pkt., co było jednym z najwyższych wyników w kopalni. Pamiętam, że pani Kazimiera Sienkiewicz, kierowniczka mieszkaniówki w ZG Lubin, dziwiła się, że aż tyle ich uzbierałem. Po roku, już bez żadnych punktów, dostaliśmy M-4 o powierzchni 65 m kw. w budynku przy ul. Sokołej. Wspólnie z małżonką wybraliśmy lokal na drugim piętrze i byliśmy szczęśliwi, że jest taki przestronny.

■ Nazywali mnie Pstrowski

W Zakładzie Przeróbki Mechanicznej panu Romanowi dobrze się pracowało, jednak chciał przejść na oddział górniczy, gdzie można było znacznie więcej zarobić. Zwrócił się o pomoc do głównego mechanika maszyn dołowych Zbysława Marcinkowskiego. We wrześniu 1977 r. dopiął swego, przeszedł do brygady sztygara Józefa Hoftmana na oddział MD-10 na Lubinie, którym kierował Czesław Bożek.

– Praca w komorze remontowej maszyn była urozmaicona, pracowałem przy remontach silni-



1968 r., Wrocław. Roman Kułak (po lewej) na wypoczynku zakładowej z kolegami: Jan Pawlaczek (po prawej), obok Franciszek Cirióg.

ków, mostów, hydrauliki, uzbierałem wozy prze-gubowe, węże, klimatyzacje, wymieniałem rozdzielacze. Naprawialiśmy praktycznie wszystko. Koledzy nazywali mnie Pstrowski (od przodownika pracy socjalistycznej), ale nie dlatego, że byłem zaangażowany politycznie, a przez mój upór i dokładność. Zawsze musiałem zrobić to, co miałem założone, często rezygnowałem nawet z przerwy

śniadaniowej, bo chciałem skończyć przydzielone zadanie – podkreśla pan Kułak.

■ Oddawałem nienafedrowane

Roman Kułak w pierwszych ośmiu latach pracy na dole ukończył wieczorowe Technikum Górnicze w Lubinie. Zbysław Marcinkowski uznał, że pan Roman ma już wystarczające doświadczenie, by w 1985 r. zostać sztygarem na oddziale mechanicznym G-3 na Lubinie Wschodnim, gdzie kierownikiem był Józef Ruszczak. Później kierownikiem robót na Lubinie Wschodnim został Bronisław Tomicki, który bardzo lubił rozmawiać ze sztygarami, szczególnie po zakończeniu szycy.

– Gdy na zmianie nie wykonałem planu wydobywania, mówił: „Co panie Romku, nie dało się nafedrować? Ma pan bilet na autobus? Jeżeli nie, to go pan kup, bo będziemy gadali”. Młócił mnie potem przez godzinę, dwie, czasami nawet trzy i rzeczywiście potrzebowałem biletu, aby komunikacją miejską wrócić do domu, bo służbowe autobusy dawno odjechały. Czasami miałem tego serdecznie dosyć – wyznaje pan Romek. – Pewnego dnia nie wytrzymałem i powiedziałem: „Panie kierowniku, po co mam tu z panem siedzieć, oddam ten brak urobku z nawiązką”. Pamiętam, że zabrakło mi do normy 18 Joyów (sposób rozliczania wykonania normy w ciągu zmiany liczbą wozów Joy, odstawiających rudę na kratę), następnego dnia oddałem 24. Tomicki podsumował to krótko: „Jeżeli będziesz tak postępował, dam ci spokój”. I rzeczywiście, gdy na odprawach sztorcował tych, którzy nie wyrobili planu, mnie nie ruszał. Raz jeden ze sztygarów zapytał, dlaczego nie rozlicza Kułaka, odpowiedział mu: „Bo on zawsze następnego dnia nadrabia to, czego nie nafedrował”. Muszę przyznać, że bardzo często nie było to łatwe z powodu awarii pojazdów czy wiertarek. Wtedy używaliśmy jeszcze wiertarki pneumatyczne Medony, które strasznie hałasowały podczas wiercenia.

■ Awans na sierżanta

Gdy w 1991 r. na emeryturę odchodziła duża grupa doświadczonych górników, Roman Kułak przeszedł na komorę C, oddziału mechanicznego G-8 rejonu Lubin Zachodni. Kierownikiem był Włodzimierz Styś, a nadsztygarem Grzegorz Kłosiński.

– Drugą ksywę – sierżanta – zyskałem po awansie na sztygara – wyjaśnia. – Swoje podejście do szkolenia młodych żołnierzy zastosowałem w kopalni;

wypatrywałem młodego górnika i przyglądałem się w jaki sposób remontuje maszynę. Gdy widziałem, że ma problemy, mówiłem do niego: „Chodźmy do maszyny, poćwiczmy”. Pokazywałem, jak należy remontować poszczególne podzespoły maszyn i urządzeń. Choć w wojsku byłem tylko kapralem, nazywali mnie „sierżantem”. Z upływem

lat już sami dopytywali: „Panie sierżancie, kiedy poćwiczmy?”. Byłem wymagający, ale sprawiedliwy i zawsze dotrzymywałem danego słowa. Szanowali mnie, dlatego na przykład nigdy przy mnie nie zapalili papierosa na dole, ani nie wypili alkoholu. Gdy odchodziłem na emeryturę, otrzymałem łaskę z dedykacją „Dla sierżanta sztygar”, która dziś jest dla mnie cenną pamiątką. W ogóle w pierwszych latach pracy atmosfera była zupełnie inna. Ludzie nawzajem szanowali się,

■ Kułak, nie ściemniaj!

Na Lubinie Zachodnim Roman Kułak też szybko wyrobił sobie dobrą markę. Gdy kierownikiem robót został Krzysztof Tkaczuk, a z powodu kłopotów ze sprzętem nie udało mu się wyrobić planowanego wydobywania, zastosował ten sam manewr, co na Lubinie Wschodnim. Poszedł do Tkaczuka i zadeklarował: „Panie kierowniku, jutro na pewno oddam z zapasem”.

– Popatrzył mi prosto w oczy, podał rękę i powiedział: „Jeżeli to zrobisz, dam ci spokój”. Oddałem z nawiązką i kierownik Tkaczuk już nigdy nie rozliczał mnie na odprawach. Gdy

został dyrektorem, na jego miejsce przeszedł Jarosław Kuźniar. Był służbistą – nie ukrywa swojej opinii pan Romek – ale też dobrym kierownikiem robót. Już w pierwszych dniach jego urzędowania zdarzyło mi się nie wykonać planu. Podszedł do mnie i mówi: „Kułak, nie ściemniaj, wiem, że nie nafedrowałeś”. „Co



Rok 1994. Przed odlotem do Turku w Finlandii na szkolenie z zakresu obsługi wozów TORO. Od lewej: Zbigniew Maliszewski, kierownik robót na Lubinie Wschodnim, Roman Kułak oraz dwaj sztygarzy z ZG Rudna.

mam ściemniać – odpaliłem prosto z mostu, ale spokojnie – jutro oddam wszystko” – zapewniłem. Nie wierzył mi, ale ja się zawzięłem. Przekazałem sztygarowi Zbyszkowi Kosiadowskiemu z G-8, dodatkowe dwie ładowarki ŁK-I, które wykorzystał jak wozy odstawcze. Dzięki temu dostarczyliśmy na krąt dużo więcej urobku niż należało. Kierownik Kuźniar śmiał się i później zawsze powtarzał: „Ty Kułaczku potrafisz wybrnąć z każdej sytuacji”. Szanowaliśmy się nawzajem do tego stopnia, że jak trzeba było załatwić np. wcześniejszy wyjazd, bo organizowaliśmy oddziałowe ognisko w plenerze, mnie do niego wysyłano. Z udawanym oburzeniem wołał: „Co, znowu ciebie przysłali!”, ale nigdy nie odmawiał. Bardzo często korzystał też z naszych zaproszeń na wspólne posiłki. Na Lubinie Zachodnim mieliśmy naprawdę bardzo zgraną załogę i chyba najlepszy wyższy dozór górniczy, a Krzysztof Tkaczuk i Jarosław Kuźniar byli jego liderami.



Karczma Piwna w 2007 r. Pierwszy z lewej Roman Kułak, w środku Henryk Woroszczak, z którym w 2005 r. założył koło PTTK „Łazik”.

■ Wszystko pod ręką

– W 1981 r. zostałem szefem rozdzielni części – mówi. – Miałem swoją wnękę na dole, w której trzymałem części zapasowe. Porobiłem regały, na których dokładnie wszystko poukładałem - osobno siłowniki, silniki, opony itd. Dodatkowo Józef Wyciszkievicz prowadził mi dokładny rejestr, wypisywał dokumenty „RW”. Zawsze dokładnie wiedziałem, co mam i gdzie jakaś część została wydana, nawet opony do maszyn. Na komorze robiliśmy remonty, wymontowane części składowaliśmy w kontenerach, osobno pneumatyka, pompy, silniki. Potem wydawaliśmy je do góry na wiatę, którą nazywaliśmy oddziałem MD-10A. W warsztatach części regenerowano i naprawiano, po czym wracały do nas. To było bardzo pomocne, skracало czas potrzebny na usunięcie awarii. Później, w imię rzekomych oszczędności, skasowano ten system i wprowadzono serwisowanie. Zama-

wiało się potrzebną część, którą nieraz dostarczano po tygodniu, a maszyna przez ten czas stała.

■ Wiedział gdzie zadzwonić

Roman Kułak był sztygarem na komorze C, Mieczysław Bobiński na komorze B, a Czesław Wrona na komorze A.

– Nasza trójka zawsze umiała się dogadać, pożyczaliśmy sobie maszyny i części do nich. Szczególnie pomocnym był też Rene Kaleta, który znał język francuski i pomagał nam tłumaczyć książki obsługi wozu Joy E-35. Ogromna maszyna, ważyła 35 ton i tyle samo zabierała urobku. Miała 12-cylindrowy silnik Deutsche o mocy 512 kW i koła dwa razy większe ode mnie. Było czym jeździć, Edek Braszczok - wirtuoz wśród operatorów na G-5 - nie miał sobie równych. Fińskie wozy odstawcze TORO to jedno z najlepszych w historii, potem nastały szwedzkie Wagnery, też bardzo dobre. Pa-

miałam również nadsztygara Adama Matłę - był fachowcem od wozów odstawczych serii ŁK i całej „rogaczyny”, czyli wozów SWW i SWK, Stanisława Frąckiewicza - od silników, Pieniążka - od pneumatyki (Medony i podzespoły do wiertarek), a także Karola Sandomierza - od opon. Każdy w czymś się specjalizował i gdy nie mogłem sobie poradzić

w Przedsiębiorstwie Robót Górniczych i Budowlanych PUGIB-BUD Częstochowa. Wrócił do ZG Lubin, gdzie przepracował kolejne 12 lat. W maju 2016 roku, po 48 latach pracy w lubińskiej kopalni, ostatecznie pożegnał się z górnictwem.

– Nie wiem, kiedy te prawie pół wieku zleciało. Nigdy nie żałowałem, że tak potoczyły się



Do 24-godzinnego marszu na Śnieżkę, 4 maja 2015 r., wystartowało 10 osób. Dotarło 5 z nich: (od prawej) Roman Kułak, Stefan Kłos, Beata Szczepaniak, Piotr Soch i Ryszard Zajac (osoba z nr 1 na koszulce, z grupy przygotowującej rajd).

z jakim problemem, miałem do kogo zadzwonić – zaznacza pan Roman.

■ Chciał być muzykiem

Na Lubinie Zachodnim Roman Kułak pracował do końca 2001 roku, w styczniu następnego roku przeszedł na emeryturę. Jednak nie mógł usiedzieć w domu, a praca na działce nie porywała go. Wspólnie z małżonką znaleźli nowe hobby - turystykę. W 2005 r. założył koło PTTK „Łazik” przy ZG Lubin. Od tego czasu każdego roku organizują co najmniej jeden wypad w góry, systematycznie uczestnicząc w wiosennych i jesiennych rajdach KGHM.

W 2004 r. kolega i dawny nadsztygar Roman Kłosiński skaperował go do pracy w nadzorze

moje losy. Poznałem wielu wspaniałych ludzi. Ale gdybym mógł zacząć jeszcze raz od nowa, wybrałbym chyba jednak zawód muzyka – podsumowuje swoje życiowe decyzje. – Moja mama była bardzo niezadowolona, gdy poszedłem pracować do kopalni, wołała bym był muzykiem. Choć skończyła już 88 lat, doskonale wszystko pamięta.

Dziś pan Roman nie ma już akordeonu, oddał go jednemu z synów. Obaj ukończyli szkoły muzyczne, jeden w klasie fortepianu, drugi akordeonu. Odziedziczyli po ojcu talent, ale również nie poświęcili się muzyce. Obaj pracują w ZG Lubin, Roman jako górnik na oddziale G-5, Damian jest operatorem maszyn ciężkich na komorze C1-C2A. ■

chodnik – wyrobisko korytarzowe prowadzone poziomo lub prawie poziomo (do 5° nachylenia), niemające bezpośredniego wyjścia na powierzchnię ziemi

czerwony spągowiec – nazwa kompleksu skał osadowych pochodzenia lądowego i skał wulkanicznych powstałych w permie, obejmującym(- obejmując) znaczne obszary Europy Północnej i Środkowej (np. Niż Polski)

diagonała – wyrobisko podziemne drążone w kierunku pośrednim między rozciągłością a nachyleniem pokładu

dolomit – niemal monomineralna osadowa skała węglanowa, zbudowana głównie z minerału o tej samej nazwie

elektrofiltr (odpylacz elektrostatyczny) – rodzaj odpylacza, w którym usuwanie pyłu z gazu następuje poprzez wykorzystanie siły elektrostatycznej, działającej na cząstki tego pyłu

flotacja – wzbogacanie rozdrobnionych ziaren rudy w wodzie przy użyciu odczynników flotacyjnych i wytworzeniu pęcherzyków gazu (powietrza)

kasza – podpora stropu wyrobiska wykonana z okraglaków, kantówek lub szyn, układanych krzyżowo na sobie na kształt studni lub klatki

kawerna – pusta przestrzeń w skałach, powstała w wyniku procesów naturalnych ługowania, czyli rozpuszczania składników skalnych

konwertor – przechyłny zbiornik wykonany z blachy stalowej wyłożony wewnątrz cegłą ogniotrwałą, służący do otrzymywania stali z ciekłej surowki

kotew – ściągi stalowy umieszczony w otworze wywierconym w stropie, w którym się ją zaklinowuje

ładowarka – maszyna do ładowania rozkruszonego urobku do naczyń transportowych, rozróżniamy ładowniki chodnikowe, ścianowe, szybowe oraz do pracy na powierzchni

łupek – skała osadowa lub przeobrażona, charakteryzująca się tym, że daje się łatwo łupać w drobne płytki

miąższość – grubość warstwy (np. skalnej),

kompleksu warstw lub innych struktur geologicznych, mierzona pomiędzy stropem a spągłem

nadawa – określona ilość jakiegoś surowca, którą jednorazowo wkłada się do maszyny w celu przeróbki

obudowa kotwiona – obudowa stropu, której zasadniczą częścią są kotwie, czyli stalowe sworznie umocowywane w otworach wywierconych w stropie.

ocios, zrąb – boczna ściana wyrobiska górniczego w skale płonnej lub w kopalinie użytkowej

odprężenie górotworu – zjawisko podobne do tąpnięcia, lecz o słabszym natężeniu i mniejszych skutkach. Między odprężeniem górotworu i tąpnięciem nie ma wyraźnej granicy, a ich rozgraniczenie zostało przyjęte w sposób umowny

okorek – skrajna deska z okorowanego pnia drzewa, z jednej strony zaokrąglona

piec szybowy – klasyczny typ pieca hutniczego do wytopu metali, ma kształt szybu, zaopatrzonego od góry w urządzenie zasypowe i odprowadzające gazy, a od dołu w system doprowadzania powietrza technologicznego (dmuch) i wyprowadzania skondensowanych produktów

piaskowiec – zwięzła, zwykle drobnoziarnista skała osadowa

piaskownik – pręt metalowy o przekroju prostokątnym

pochylnia – nachylone pod kątem do 45° wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, łączące dwa wykonane na różnych poziomach chodniki, drążone od dołu do góry

przecinka – krótki chodnik poprzeczny łączący dwa sąsiednie wyrobiska

Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń Rud w Bolesławcu (PBK, PBKR, PRG, ZBK, ZRG) – powołano w 1951 r. celem budowy kopalni w starym zagłębiu miedziowym. Wielokrotnie zmieniał swoją nazwę i status organizacyjny. W 1960 w miejsce PBKR w Bolesławcu,

powołano Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń Rud Miedzi w Lubinie, które zostało generalnym wykonawcą robót górniczych w LGOM. W 1991 r. przedsiębiorstwo przekształcono w oddział KGHM pod nazwą Zakład Budowy Kopalń (ZBK). Dwa lata później powołana została spółka prawa handlowego pod nazwą PeBeKa Sp. z o.o. W styczniu 1997 r. połączono ją z Przedsiębiorstwem Robót Górniczych w Lubinie (PRG), a od 1 stycznia 1999 r., po przekształceniu w spółkę akcyjną, firma funkcjonuje jako Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń PeBeKa S.A.

przeróbka – podnoszenie wartości surowego materiału przez poddawanie go odpowiednim zabiegom

przodek – końcowa część wyrobiska, w którym odbywa się eksploatacja złoża

rewizja szybu – oględziny urządzeń wyciągowych

rozcinka – prowadzenie wyrobisk korytarzowych przygotowujących pole do wybierania kopaliny

rukug – ręczna wyciągarka łańcuchowa

staw osadowy Gilów – sztuczny zbiornik, wykorzystywany przed laty do składowania odpadów poflotacyjnych ZWR Lubin. Znajdował się niedaleko Lubina, teren został poddany rekultywacji

skip – skrzyniowe naczynie wyciągowe dużej pojemności, prowadzone w szybie podobnie jak klatka

skreper – maszyna do odspajania gruntu, przewozi i wyładowania urobku w określonym miejscu, zgarniarka

skrubler – odpylacz mokry w postaci wysokiej kolumny, w którym rozpylana woda zwilża zawarte w gazach cząstki ciała stałego i powoduje ich opadanie

SOLINOX – instalacja uruchomiona w 1994 roku do oczyszczania z dwutlenku siarki gazów powstających w procesie produkcji miedzi. Dzięki niej huta została w 2001 roku skreślona z listy 80 największych trucicieli środowiska

SOWI – Samodzielny Oddział Wykonawstwa Inwestycyjnego utworzony na podstawie zarządzenia dyrektora naczelnego KGHM z 17 maja 1966 r. Nazwę zakładu zmieniono na podstawie zarządzenia dyrektora z 19 grudnia 1974 r. na Zakład Robót Górniczych, a następnie Przedsiębiorstwo Robót Górniczych, które

zostało wchłonięte przez Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń PeBeKa S.A.

spąg – dolna powierzchnia warstwy skalnej, pokładu lub wyrobiska

spągowanie (in. pobierka) – wgłębianie się w spąg lub wybieranie skał ze spągu

sztolnia – wyrobisko korytarzowe o małym przekroju poprzecznym, drążone w górotworze ze zbocza góry, poziomo lub pod niewielkim wzniosem w głąb góry do złóż kopaliny użytecznej

szytygar – pracownik sprawujący dozór techniczny i częściowo administracyjny nad określonym działem kopalni

szytygar objazdowy – pracownik nadzorujący kilka oddziałów lub taki, który ma powierzony dozór techniczny nad określonym zagadnieniem technicznym

szytygar oddziałowy – kierownik oddziału

szyb – wyrobisko górnicze pionowe lub pochyle o nachyleniu powyżej 45° o przekroju poprzecznym powyżej 4 m kw. i znacznej głębokości, prowadzące z powierzchni terenu do położonego w głębi ziemi złoża kopaliny użytecznej.

szybik – rodzaj wyrobiska górniczego, swoją budową przypomina szyb, jednak nie łączy wyrobisk podziemnych z powierzchnią, lecz poszczególne poziomy kopalni ze sobą

szychta – zmiana robocza

system komorowo-filarowy – sposób wybierania złoża jednym frontem eksploatacyjnym, składającym się z szeregu równoległych przodków komorowych łączonych pasami, między którymi pozostawiane są filary technologiczne dla zapewnienia stateczności stropu w przestrzeni roboczej

rząpia – dolna część szybu, położona poniżej ostatniego poziomu

winda frykcyjna – winda zbudowana na ogół na podwoziu przyczepowym, dzięki czemu może być wykorzystywana w różnych szybach. Umożliwia nie tylko opuszczanie lin do szybu, lecz także ich wyciąganie

wyrzut – gwałtowne wydzielenie się znacznych ilości gazów z calizny z równoczesnym wyrzuceniem rozkruszonych odłamków skalnych

upadowa – wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, nachylone do 45°, łączące dwa wykonane na różnych poziomach chodniki -

drażone po upadzie (od góry do dołu), z transportem realizowanym z poziomu dolnego na górny

uskok – struktura tektoniczna powstała w wyniku rozerwania mas skalnych i przemieszczenia ich wzdłuż powstałej powierzchni (lub wąskiej strefy zniszczenia), zwanej powierzchnią uskoku (lub strefą uskokową)

Upadowa Grodziec – kopalnia położona w starym zagłębiu miedziowym, od 1958 roku włączona do ZG Konrad

walenciaki – stojaki nazwane od obudowy stalowej typu Valent

wrębówka (wrębiarka) – maszyna górnicza do wykonywania wrębów w caliznie, poruszana za pomocą sprężonego powietrza lub energii elektrycznej

wychodnia – miejsce podchodzenia złoza ku powierzchni ziemi

wyrobisko – przestrzeń powstała w wyniku robót górniczych. Wyrobiska dzielą się na: pionowe (szyby, szybiki), poziome (chodniki, upadowe, ściany, komory, zabierki) oraz korytarzowe

wywrót – urządzenie do opróżniania wozów kopalnianych przez ich obrotowe wywracanie

Zakłady Wzbogacania Rud (ZWR) – Oddział KGHM Polska Miedź S.A, którego zadaniem jest wzbogacenie rud wydobywanych w oddziałach górniczych, czyli trzech kopalniach. Składa się z trzech rejonów zlokalizowanych przy szybach wydobywczych kopalń: Lubin, Polkowice-Sieroszowice i Rudna

ZG Konrad w Iwinach – zakłady zlokalizowane na południowy wschód od Bolesławca. Składały się z trzech rejonów eksploatacyjnych: „Konrad”, „Upadowa Grodziec” i „Lubichów”. Działalność zakończyły z końcem 1989 r.

zabior – ilość urobku, która zostaje oddzielona od calizny przy zastosowaniu określonego sposobu urabiania

zawał – niezamierzone, grawitacyjne przemieszczenie się mas skalnych lub kopaliny ze stropu albo ociosu w stopniu powodującym niemożność przywrócenia pierwotnej funkcji wyrobiska w czasie krótszym niż 8 godzin

zgarniak – część robocza zgarniark do przyciągania urobku, ciągniona kołowrotem na linach

zrąb – część skał otoczona zapadlinami lub podniesiona ponad sąsiednie obszary i odgra-

niczona od nich zwykle zbiegającymi się uskokami

zrąb szybu – przypowierzchniowa krawędź obudowy szybu

zroby – wyeksploatowana część złoza

WSPIERAMY POŻYTECZNE INICJATYWY SPOŁECZNE



Jesteśmy przekonani,
że w społecznościach lokalnych
drzemią ogromne pokłady
możliwości. **Wspólnie
wydobynamy to co najlepsze.**

Powstała w 2003 roku korporacyjna Fundacja KGHM Polska Miedź jest ważnym filarem strategii CSR w KGHM. Jako organizacja pożytku publicznego realizujemy politykę społecznej odpowiedzialności biznesu wspierając ważne inicjatywy lokalne i regionalne, a także angażuje się w projekty o skali ogólnopolskiej.